DWIE DUSZE

NAPISAŁ

JAKÓB BOJKO

GRUDZIĄDZ 1922.

ZAKŁADY GRAFICZNE WIKTORA KULERSKIEGO
(GAZETA GRUDZIĄDZKA)

Słówko autora do czwartej edycji.

Książeczka niniejsza umiała się tak podobać, że już miała 3 wydania i dziś jest rzadkością. Wyszła poraz pierwszy w Krakowie, potem w Warszawie, w Ameryce a wreszcie wychodzi na Pomorzu po raz czwarty, do ludzi.

Autor pisząc ją ze zbolałej duszy, dorywczo, bez planu, nie spodziewał się, że jego dziełko takie przyjęcie znajdzie, jakie znalazło. Widać, że dusza polskiego ludu głodna była takiego słowa, była bardzo ludowi potrzebną.

Znany powszechnie Ks. Dr. Jan Ciemniewski, oceniając ją (dosyć życzliwie jak na księdza) tak o tej książeczce pisał:

„Książka p. Bojki — to protest wolnego obywatela, przeciw uciskającej go rzekomo przemocy, to jęk duszy, zbolałej i cierpiącej; to skarga człowieka, któremu niedola dobrze dopiekła, a los sadła zalał za skórę“. Odmówił jej objektywności i naukowości, bo też autor na naukowość nie chorował i pisał dalej: „że celem jej jest stłumienie wśród ludu ducha „pańszczyźnianego“ i wyzwolenie go z pęt niewoli duchowej, która w nim tkwi dotąd, odbierając mu szacunek i znaczenie w świecie, wyrządzając szkody nieobliczalne. Cel autor osięga bez wielkiego trudu, bo Bóg obdarzył go darem obserwacyjnym, łatwością pióra i niepoślednim dowcipem. Gryzący sarkazm jego skutecznie uderza w słabe strony naszego chłopa i dowcipnie wytyka mu jego błędy. To też gdy wyrzuca on ludowi płaszczenie się i schlebianie panom, gdy stara się rozwinąć w nim godność i poczucie samodzielności, kiedy przestrzega go przed serwilizmem i sobkostwem — można mu tylko przyklasnąć i życzyć jak największego powodzenia jego książce.

Z powodu, że w tej książeczce była odpowiedź na znaną kurendę jednego z biskupów przeciw ludowcom — która się oczywiście nie mogła Ks. Ciemniewskiemu

podobać — wówczas krytyka dalsza wypadła ujemnie, i autor krytyki ubolewał nad tem mówiąc: „A szkoda! Bóg dał mu wielkie zdolności pisarskie i wiele dowcipu — dał mu ten rozmach polskiego chłopa, który gdy mówi lub pisze, to tak szczerze, że pomimo woli chwyta za serce i jedna słuchaczy, czy sprawa broniona przez niego jest zła czy dobra.*)

Że jednak i w wolnej Polsce widzi się w każdym stanie ludzi, którzy nie umią cenić własnej godności, nie mają własnego przekonania, a jak go mają, to nie mają cywilnej odwagi, by je jasno wypowiedzieć gdzie potrzeba; sądzę przeto, że przeczytawszy tę książeczkę, znajdą sobie drogę godną Polskiego wolnego obywatele. A o to też autorowi jedynie chodziło i chodzi.

Warszawa, 28/1 1922.

J. Bojko.

---

*) Obecnie ustęp, który najwięcej bolał duchownych, jako nie aktualny, został w niniejszem wydaniu słusznie usunięty. Obchodził w swym czasie pewną diecezję, i swój skutek odniósł. Dziś byłby anachronizmem.

Słowo od inicjatora czwartego wydania.

Książeczka „Dwie Dusze“, napisana przez ludowca, Jakóba Bojkę, po raz czwarty pójdzie w świat i cel swój osiągnie.

Autor tej książeczki, to brat tego ludu, krew z krwi, kość z kości, wykołysany twardem, jak dola ludu, życiem wieśniaczem. Wiejska szkoła ludowa i biblioteczka w jego rodzinnej wsi w Gręboszowie były Bojce wychowawcą. Bojko czytał dużo i czytał uważnie, w każdej myśli autora dopatrując się celu. Gdy czytał o ludziach, to ich porównywał z sobą, a przez to wejrzał w głąb swej duszy. Bojko poznał siebie na wskroś, a przez siebie poznał swych braci — poznał cały lud wiejski. Bojko pragnął, by i jego bracia po pracy — chłopi również się poznali. Dlatego napisał książeczkę p. t. „Dwie dusze“, która jest jakby zwierciadłem duszy chłopa, we wszystkich jej przejawach. Gdyby chłop polski znał siebie i swoją siłę należycie oceniał, umiałby on zapewnić sobie w Polsce sto razy większy szacunek niż obecnie, poznałby, jaką przedstawia wartość państwowotwórczą.

Bojko twierdzi, że w chłopie do dnia dzisiejszego mieszka poczucie zniewagi. Chłop musiał być przymusowym robotnikiem dworu, jakby niewolnikiem, lub bydlęciem roboczem, które do roboty zaprzęgano. Do tej roboty pan zmuszał chłopa. Samowola ta wypływała z woli prawa. Dziś, gdy się to wszystko skończyło, chłop nie żywi nienawiści do pana za to, że sobie takie prawa pan zdobył, lecz wie, że ten pan był kiedyś prawnie ponad niego wywyższony, i dla tego ten chłop jeszcze dziś, gdy staje przed panem, jakby tę wyższość szlachcica jeszcze widział, zaliczając siebie do rzędu istot upokorzonych. Chłop jednak, gdy jest sam, czuje się wolnym obywatelem, równym w prawach ze wszystkimi. Bojko tę nieśmiałość chłopa nazywa „zwycięstwem duszy pańszczyźnianej“,

zaś tę chwilę samodzielności „zwycięstwem wolnej duszy“ chłopskiej. Czytajcie, bracia ludowcy, tę książeczkę, a przeczytawszy, dajcie ją do czytania innym swoim braciom. Z tej książeczki poznacie swoje prawa i swoje obowiązki.

Oprócz siebie samego w tej książeczce każdy zobaczy jeszcze duszę prawdziwego ludowca i bunt tej zbolałej duszy. Bunt tej duszy nie jest skierowany ani przeciw świętej wierze ani przeciw księżom, co nam wrogowie często zarzucają, lecz przeciw jednostkom, które nie chcą uznać równych praw ludu. Autor tej książeczki, Jakób Bojko, jest 5-cio morgowym gospodarzem (10 morgów magdeburskich). Był posłem do parlamentu austrjackiego około 30 lat. Wybierał go na posła Lwów. Obecnie jest posłem do polskiego Sejmu Ustawodawczego i piastuje wysoką godność wicemarszałka Sejmu. Bojko całe swe życie był ludowcem. Kto czyta jego pamiętniki szkolne, ten widzi z nich, jak bardzo dumny był mały uczeń z tego, że należy do chłopskiego piastowskiego rodu.

W klubie poselskim w Sejmie mamy dwóch takich staruszków-posłów: Jakóba Bojkę i Andrzeja Średniawskiego. Stanowią oni jeszcze ten stary pień, z którego dziś olbrzymie drzewo wyrosło. Gałęzią tego drzewa jest dzisiejszy Wódz ruchu ludowego, Wincenty Witos, którego imię nietylko w Polsce, lecz i na całym świecie jest znane.

Jakób Bojko swoją pracą kilkudziesięcioletnią położył w stronnictwie nieocenione zasługi, za co jest dziś otaczany czcią członków P. S. L., a w dowód wdzięczności został wybrany honorowym prezesem P. S. L. Pracę Bojki nawet jego najzaciętsi wrogowie należycie oceniają, a przed poważną jego postacią, gdzie się tylko ukaże, z szacunkiem chylą się głowy.

I my młodsi ludowcy, chylimy głowy przed Tobą, senjorze ruchu ludowego, i dumni jesteśmy, że do gmachu przez ciebie budowanego, możemy swe cegiełki dołożyć.

Książeczka niniejsza, w czwartem wydaniu wychodzi nakładem Wydawnictwa „Gazety Grudziądzkiej“. Wiktor Kulerski, Redaktor i Wydawca „Gazety Grudziądzkiej“, nieugięty obrońca praw ludu w granicach interesu ludowego w b. dzielnicy pruskiej, dopomógł nam do wydania tego pokarmu dla głodnej duszy ludo-

wej. Niech więc książeczka idzie w lud, niech dotrze do każdej chaty, niech się chłop w niej przejrzy do głębi tajemnic swej duszy, niech pozna siebie i swoją duszę. A kto z przeczytania tej książeczki korzyść dla siebie odniesie, ten niech spłaci dług wdzięczności, szerząc tę wielką myśl i pracę jakiej Bojko całe życie służył, i niech zachowa w wdzięcznej pamięci imię Wydawcy, który jest również członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego, i służy tej samej sprawie co Bojko.

Romuald Wasilewski, poseł do Sejmu Ustaw.
i Sekr. P. S. L. na Woj. Pom.

1.

Wiedzą to wszyscy, że jest taka gadka między ludźmi, iż człek jak umrze, to duszyczka jego nie odrazu idzie na tamten świat boży, ale jeszcze jakiś czas pokutuje tutaj.

Znam takie kobiety, a nawet i mężczyzn, co święcie wierzą, że dopóty dusza siedzi przy zmarłym człeku, póki nie usłyszy głosu dzwonu, a inni mówią, że póki ksiądz ziemi na zwłoki nie porzuci. Znam i takich, co w syczącym patyku mokrym, lub w węźle powrósła, palącym się w piecu, słyszą jęk duszyczki.

Starzy Polacy i Litwini, jako poganie, wierzyli, że dusze zmarłych przodków, nawet na uczty do domu przychodzą, to też pierwszą łyżkę klusek, i z pierwszej szklanki piwa pianę, rzucali pod ławy dla nich, mówiąc: „a kysz„ a kysz“, co oznaczało, jakby chcieli powiedzieć: „A na wamcież ta i wy!“

Bracia Rusini pono dotąd stawiają na grobach chleby i t. p. rzeczy, trzymając się zwyczaju prastarych Słowian, którzy wierzyli, że duszyczki zmarłe wyjdą z grobu i bardzo im będzie przyjemnie, gdy pożywienie dla siebie znajdą.

Ile w tem wszystkiem prawdy, ja nie wiem, ale na to przysiądz mogę, że w nas chłopach pokutuje dotąd, prócz naszej duszyczki, jeszcze druga. A choć to talmud żydowski pisze, że jeno żyd, a i to na szabas, dostaje drugą duszę, to ja na całe gardło wołam śmiało, niech mi robią co chcą, że chłopi[1]) prócz swej własnej, mają jeszcze drugą duszę!

Tam do djabła — powie ten lub ów czytelnik, a pobożne dusze wiem, że aż ręce załamią i okrzykną mię bezbożnikiem... ale moje dusze... tak jest. W nas pokutuje dusza bardzo starej brzydkiej pani, która zmarła w roku pańskim 1848, a zwała się p a ń s z c z y z n a. Pani ta trzymała w niewoli strasznej przeszło 400 lat

---

*) Chłopem w Małopolsce i w Kongresówce nazywa się gbura, albo raczej na Pomorzu chłopa nazywa się gburem.

całe nasze chamskie plemię i zabiła w chłopie człowieka, a zrobiła po prostu grat, maszynę, z którą to można było zrobić, co ta pani chciała. A gdyby, broń Boże, ten chłop chciał się coś lekutko sprzeciwić, ta pani miała sposób, aby to jemu, jego dzieciom i wnukom wybić z głowy, na całe sto lat.

A niech sobie piszą co chcą, ale był i taki wypadek, że w Boże Ciało wypędzony lud siał za pańskie na polu, a Tatarzy już z lasu ukazywać się zaczęli, by chłopów zabrać do strasznej niewoli. Jeden ekonom woła: „chłopi uciekajcie, gdzie ko może, bo tatary“, drugi zaś surowo zakazał, i chłopi póty siali, póki ich Tatarzy do niewoli nie zabrali*). Wiedzieli, co za los ich czeka w niewoli tatarskiej, a tak się bali tej nieludzkiej pani, że musieli pozostać na miejscu, kiedy taka wola jej była.

Musieli tej pani wszystko zrobić, co tylko sobie życzyła. I nie było nic zrobione u niej na roli, w lesie, ogrodzie i w domu, czego by ręka nieszczęsnego chłopa nie zrobiła, i to za darmo.

Komunikował ksiądz ludzi w kościele. Chłopowina jedna, już otwarła usta na przyjęcie Komunji, ale że kapłan zauważył po jego wyglądzie, jako żadnej świadomości nie ma ten człek, toż usunął mu Świętość z przed ust i pyta: „Dobry człowieku, a wiesz-że ty, kto ten świat stworzył?“ — Chłop zgłupiał do cna, — myśli, myśli, wreszcie uchwycił plebana za nogi i rzekł: „Proszę Dobrodzieja, a to pono my go za pańskie zrobili“**).

Wszystko za pańskie zrobili chłopi, toć nie dziw, że ten biedak rozumiał, że i świat jest ich roboty...

Musieli robić, słuchać i milczeć, bo jak Pol powiada w „Pieśni o ziemi naszej“: „że nieposłuch, chłopu trumna“.

Ale dał Bóg, że ta pani straszna zachorowała i zmarła raz na zawsze. Nie godzi się mówić o ludziach po śmierci źle, tak powiadają, trzymając się przysłowia, że o umarłym mów tylko dobrze. I my tej pani darowali wszystkie jej wybryki, jako że ta baba tak robiła na całym świecie, — to jedno, a drugie, że tak ona jak i ci, których gnębiła, — pomarli i nie masz z nich ani proszku, ale całkiem o niej nie można zapomnąć mimo woli. Bo cóż, że ona skapała jak ten śnieg od południowego

---

*) Łoziński: Prawem i lewem.

**) Ks. biskup Ludw. Łętowski: Miscelanea.

wietrzyku, skoro dusza jej tak się wpiła w chłopski kadłub, że ani się jej śni go opuścić, mimo, że ciało od 55 lat gnije.

Ta groza pańszczyzny tak weszła w krew ludu, że się to po dziś dzień odbija na nim w rażący sposób, a to nie tylko na prostym ludzie, ale nawet na tych jego synach, którzy zajęli, dzięki szkołom, i wysokie stanowiska nawet. Duch pańszczyzny, duch niewolniczy, tkwi w nas wszystkich, a kto nie wierzy, niech czyta dalej.

2.

Oto jesteś chłopem. Jest cię na tylo wszerz i wzdłuż, Bóg ci dał urodę, jak gdzie indziej baba takiej nie ma, dorobiłeś się coś nie co, masz dzieci, i żonę nie ostatnią i nazywasz się gospodarz. I niech no ci co żona lub kto inny wlezie na uczciwość, to wpadasz w pasją i mówisz: ho-ho! jeszcze tu ja pan i ja gospodarz! No bracie złoty, ja ci powiadam, że ty masz rację... Tak jest, p a n - e ś c h o ć b y i n a m o r g u r o l i, tak wielki, jak nawet o tem pojęcia nie masz! Ty, mimo twego ubóstwa, jesteś większy pan na swym własnym śmieciu, jak, dajmy na to grabarz, jak organista, jak ks. wikary i pleban, jak propinator, jak woźny, jak pan komisarz, jak starosta, jak kasjer i sekretarz rady, a nawet i wyżej. Niech grabarz zapali papierosa od ludowca, to go proboszcz wypędzi, że ani wąchnie łopaty. Organista, jeżeli nie donosi księdzu bajek, co ludowcy robią, to bez powodu po 25-ciu latach najwierniejszej służby kościołowi, pleban go wyrzuci na drogę i ani zipnie. Wikarego, jakby co brykał, a już tego ukryć się nie da, bo 20 świadków przed biskupem o jego sprawkach gada, to go usunąć muszą. Nawet proboszcza, co dobrze „uwadzi“, a rady nie ma, to go na wikarego duchem wpakują. I propinator, jak chłopi się zmądrzą i wolą kupić dziecku koszulę a pić maślankę, niż się bez miary djabli wiedzą czem zalać — musi iść chajty. Woźny, skoro nie podoba się raz swemu pryncypałowi, komiszarz, starosta, gdy już za nadto jego sprawy dojada ludowi i robi się „za głośny“, to go przenieść muszą albo na pensję, albo do namiestnictwa. Kasjer, gdy coś ukradnie, to wylecieć musi — jak nie do kryminału, to na świeży wiatr...

A ciebie chłopie, jak podatek i procenta a kapitał regularnie płacisz, jak rekruta a powinności gminne odrobisz, — jakeś nic nikomu nie winien, jakeś nie jest złodziejem, pijakiem i sądu unikasz, toś pan całą gębą i jedna tylko śmierć cię z domu wypędzić może, a zresztą nikt. Słyszysz? Nikt, nawet sędzia, nawet biskup, nawet minister, nawet król nie może cię wypędzić.

Wiesz ty chłopie o tem?

— Wiem — powiadasz.

Dobrze, wierzę ci, ale powiedz mi, czy ty masz odwagę cywilną, do twego dzisiejszego państwa, i przy tem prawie, jakie ci przysłuża?...

Milczysz... To ja ci powiem, jak to bywa... Jakeś ty tylko tak w dwóch a trzech... coś ty za odważny, co ty masz do gadania, to o panie, to o księdzu, to o urzędniku... i widzi Bóg, że ty najczyściejszą prawdę mówisz nieraz. I gdybyś miał odwagę cywilną powiedzieć im w oczy słowa prawdy, to nie jedna sprawa inny by obrót wzięła. Ale cóż, kiedy ty, luboś taki zuch i wolny, niezależny gospodarz, nie możesz się zdobyć na odwagę, bo ci nie da dusza niewolnicza — pańszczyźniana, a zobaczywszy nawet policjanta, nawet kościelnego... języka w gębie zapomniałeś, i blagujesz ludzi, na swoją i ich szkodę.

A cóż gdy wstępujesz n. p. do jakiego wyższego urzędnika, świeckiego czy duchownego. Dusza twoja ucieka ci aż w pięty, a ta druga pańszczyźniana robi z ciebie cielę, bałwana, który wtedy gnie się w pas, jak niewolnik, i nie tylko że sobie nic tem dobrego nie zrobi, ale sprawę nieraz własnych braci — za darmo sprzeda... I spojrzyj na niego, to się pali od wstydu i poci jak mysz, a oczy ma w dół spuszczone — bo wie, że źle robi, ale nie mógł się dotąd wyzbyć tego przeklętego gada z siebie, to inaczej robić nie może. Dopiero wtedy ta dusza z niego na chwilę wyjdzie, gdy się zgniewa o coś... ale to już niema wartości taka odwaga.

Czytelnicy! połóżcie rękę na sercu i powiedzcie, czym choć na włos zełgał, czy my nie mamy duszy pańszczyźnianej? Mamy, a tych, którzy się jej pozbyli i otwarcie i jasno prawdę ludowi głoszą, zowią dziś wywrotowcami, burzycielami i t. d.

3.

Ale idźmy dalej i patrzmy, czy ci, co wyżej z chałup wydrapali się — mają jedną, czy dwie dusze.

Posyłali cię do szkoły, sami za ciebie krowy pasąc, gnój od nich wyrzucając. Potem pchnęli cię do wyższych szkół i tak powoli wydrapałeś się chłopski synu, na nauczyciela ludowego. Matusia duszkiem chcieli widzieć z ciebie „jegomościa“, ale brakło materji i rodzicom, i tobie, toć jesteś nauczycielem. Chwała Bogu, boć to zawód tak wzniosły, tak pożyteczny, że szkoda to udowadniać. Przez 12 zim uprawiałem ten święty proceder: kiepski był nauczyciel, kiepska szkoła, kiepska — rozpaczliwie płaca, a jednak dziś nie mam milszego wspomnienia w mem życiu nad te chwile, które-m wśród dziatwy w szkółce strawił. I gdyby mię dziś pytał los, czem chcę być na świecie, tobym się ukłonił pięknie i prosił: Panie losie! zmiłuj się waćpan i zrób mię nauczycielem!

Ale odszedłem od rzeczy...

Ty chłopski mizeraku, zostałeś nauczycielem! O całą chałupę z kominem wzniosłeś się ponad twych rówieśników, którzy zazdroszczą ci tej wiedzy i myślą, że skoroś mądrzejszy, to nie jeno dla siebie, że sprawa chłopska będzie miała o jednego obrońcę więcej i ty wespół z innymi chłopskimi synami na tych stanowiskach nie zapomnisz o doli tych, od których się oddaliłeś. Lud myśli, że ty przecież masz tylko jedną, wolną, mądrą duszę, i tak być powinno. Ale czy jest? Mój Boże! Przekonałem się, że większa połowa nauczycieli z chłopów, to ma nie tylko duszę pańszczyźnianą, ale ta dusza nieraz o wiele razy więcej niewolniczą chłopską duszę przewyższa i podobną jest do tych dusz, jakieśmy mieli przed zgonem pańszczyzny. Nawet tyle lokajstwa nikt od nich nie wymaga, ale sami tak dobrowolnie okazują swoje pochodzenie przez lizanie się swym przełożonym często bez żadnej korzyści.

Patrz na tego..., wisus skończony..., ale jak zobaczy inspektora, co za dusza... W lot mu płaszcz potrzyma, a w kościele z nauczycielstwem w ławce nie usiadł, jeno całą mszę na klęczkach, aż mu portki na kolanach pękają... Ale donieść swych kolegów potajemnie do inspektora, powiedzieć mu jakie gazety który kolega i chłop czyta, na to jedyny! Do wikarego i ks. proboszcza jawi

się co święto i imieniny, a jakże, a potem wymawia się przed kolegami, że musiał tak robić, bo mu proboszcz daje owsa, a wikarego blaguje, bo to go nic nie kosztuje. Z partjami chłopskiemi niema nic wspólnego, bo to wywrotowcy, a jego magnifika chamstwa takiego nie znosi.

Czy dzieci co umią, czy nie, czy chłopski stan zyskał co na nim, czy nie, jemu to nie w głowie. Szklić bakę przełożonym, spychać z dnia na dzień i narzekać na biedny stan nauczycieli wiejskich, oto ich pociecha i robota. On nie postawi swego zdania jasno wobec przełożonych, on nie ma go wcale, alb się go mieć nie stara — tylko chyłkiem, pokorą udaną lezie przez życie. Coraz mniej, ale bardzo dużo znam takich panów. Mimo nauki wyższej nie pozbyli się duszy pańszczyźnianej chłopskiej, i nieraz są narzędziem do zwalczania chłopów, swych braci, jako redaktorowie pańskich gazet, a wyborca nauczyciel, to wszyscy wiedzą, co za drogę obiera.

A jednak, gdyby ci ludzie, bądź co bądź rozumem wyżsi od swych braci, stanęli razem, zgodnie i z godnością wobec swych przełożonych i wobec tych warstw wyższych, z któremi obcują, i nie starą duszą, ale wolną, obywatelską, brali się do swej całej czynności szkolnej i poza szkolnej, toby nietylko sami byli uważani nie za fagasów, ale za obywateli godnych tego miana, nietylko żeby się z nimi liczono na prawdę i ich słuszne żądania uwzględniano, ale wpłynęliby nieraz na zmianę opinji u wyższych, a przedewszystkiem świeciliby dobrym przykładem swej młodszej braci, aby co rychlej pozbyła się ducha niewolniczego.

Zaznaczyć wypada, że ci nauczyciele, co nie mieli ducha niewolniczego, może zrazu gnębieni, przepędzani z powiatu do powiatu za swe przekonania, doczekali się tego, że ich sprawiedliwie oceniono, i dziś mają i dolę lepszą i zadowolenie wewnętrzne, że się swej małej braci nie sprzeniewierzyli. Ale bardzo wielka liczba, ślepa na to, pełza, liże i blaguje swe władze, świadcząc na swój wstyd, że się nie pozbyła dotąd ducha pańszczyźnianego, że są takimi niewolnikami ducha, jak ich dziadkowie z przed r. 1848, czyli, że są „chamami“ i z ciała i z ducha. Tacy nie mogą chłopskich dzieci wiele nauczyć i wyrobić z nich lepszych charakterów stałych, a zatem że i tego nie są warci, co im dziś kraj daje.

A więc widzicie, że i ci mają dwie dusze — a czy się ich pozbędą? Ja bardzo wątpię, ale daj Boże, bo to dla nich i dla nas byłoby lepiej.

4.

Ażeby mi nikt nie zarzucił, że „o kim przymówka, a o sobie ani słówka“, toć wybaczcie bracia czytelnicy, że muszę z żalem pisać i o sobie i przyznać się, że i mnie ta druga dusza dotąd całkiem nie opuściła.

Zrodzon z rodziców, co robili pańszczyznę i w Królestwie i w Galicji, to nie tak łatwo wyzbyć się tej bestji, która jak pijawka wpiła się w całe plemię chłopskie, a zatem i w moje.

Dzięki Bogu, od lat 13-tu pędzę ją od siebie co sił mam (a nawiasem powiem, że ta dusza niewolniczo-pańszczyźniana nie boi się ani święconej wody, ani krzyża, jeno najbardziej boi się książki i gazety), a mimo, że człek się cokolwiek ogładził, i może nawet z organistą wziąść się do gadania, mimo że stykam się z ludźmi, którzy paragrafy uchwalają i nie samą kapustą się karmią, to jednak zawdy człek czuje jakąś tremę, gdy się wypada chwycić za barki z wyżej urodzonymi.

Znam dobrze, na pamięć, co przodkowie tego lub owego wartali, wiem dobrze, co on sam zacz, wiem, żem równy wobec praw boskich i ludzkich, a jednak ta czarownica z przed r. 1848 staje mi często przed oczyma i szepta mi „za małyś do niego, twój ojciec jego ojcu pańskie robił i był jego niewolnikiem.“

I rób co chcesz z tą bestją!

Ale choć mi takie obrazy rzuca dusza z przed r. 1848 i nieraz mi tępi język i pióro, to chwała Bogu bronię się jak tylko można, i da Bóg, że się pozbędę tej potwory.

A jednak mimo tego, że mię często czuć starą skórą, to i tak mię mają na wątrobie ci, którzyby radzi byli, aby chłop nigdy inny nie był, tylko jak za czasów pańszczyzny, aby milczał, słuchał, podziwiał, klęczał i warował, a swego zdania objawić nie mógł i nie śmiał. Niech się wymawiają jak chcą — widzimy aż nadto i w sejmie i w radach powiatowych i na plebanji i w starostwie i u władz wszelkich, że lizuniów a pochlebców lubią, oklaskują, bronią i popierają. A czem większy

błagier-chłop albo głuptak, to ma dla niego ucho i biskup i pleban i starosta i prezes. Oni dobrze wiedzą, co wartają ci pańszczyźniaki, ale wolą ich, bo wielkim mile się przypominają te czasy, kiedy samo takie niewolnicze plemię skakało koło nich. — A jednak ta dusza pańszczyźniana w ludzie zdechnąć musi, żeby sobie kto i na głowie stawał w jej obronie, bo jeżeli inne narody, które także miały niewolę, pozbyły się tej zabójczej cholery, to da Bóg, i nasz naród dziś czy jutro, pogrzeb tej duszy pańszczyźnianej sprawić musi, jeżeli będzie chciał istnieć.

5.

Poszedłeś chłopski synu na urzędnika. Twardą pracą, a wysiłkiem rodziców dobiłeś się stanowiska i może myślałeś, że tu będąc, będziesz podporą rodzinie i temu stanowi, z któregoś się wykłuł. Cóż się dalej z tobą dzieje?

Cóż, czy wszyscy urzędnicy z chłopskiego zagona mają teraźniejszą duszę? He, he! rozmaicie jeszcze bywa. Bo pytam, czego ten sekretarz rady albo starostwa, tak się rozbija przy wyborach, aby tylko chłopski kandydat upadł? Bo wie, że jego Pan przełożony za to go pochwali. Czego ten inspektor podatkowy dosypiać nie może, a tylko przemyśliwa, jakby jaki podatek z chłopa wydusić, choćby za to, że buta dziecku naprawił? Bo się chce przylizać swej władzy tak, jak się podlizywał jego dziad za pańskiego, kiedy dziedzicowi młodego wilczka żywcem dostawił.

A robią to dlatego, bo się dotąd nie pozbyli chamskiej duszy. Bo mógłby sekretarz powiedzieć prezesowi lub staroście: Panie! kocham władzę i słuchać jej muszę, ale skoro mej braci pomódz mi nie wolno, to przeciw niej mi walczyć byłoby zbrodnią i sam pan wzgardzić byś mną musiał!

Zagryzłby wargi pryncypał na razie, ale gdyby się zastanowił, to bylby łotr chyba, żeby nie miał dla ciebie szacunku.

6.

Jesteś wójtem. Nie wielka to — to prawda u nas persona, ale zawsze to urząd pierwszej instancji. Jak go komu potrzeba, to skaczą koło niego, jak żydzi koło

cielca na pustyni, a jak murzynem posprzątają, to i za wiecheć go nie mają. I ciebie, bracie chłopku, ta godność spotkała. Sąsiedzi, jedni z głupoty, drudzy z zazdrości, a inni może i z przekonania głosowali na ciebie, sądząc, żeś ty mądrzejszy od całej gminy, że ty zrobisz to, czego oni sobie pragną, albo i więcej, że ty nie dasz się oćmić lada słówkiem ładnem, ale będziesz stał twardo przy sprawie ludowej, chłopskiej. Ty masz za sobą spore prawo, jak na twą słabą głowę, tyś przedstawiciel gminy liczącej od 300 do 1000 i wyżej głów. Tyś nie z łaski urzędnika, lub proboszcza został wójtem, tylko cię lud wybrał na głowę gminy...

A czegóż to potem tak pysk do góry trzymasz przed małymi, a czego ci się tak portki trzęsą, gdyś stanął przed lustratorem, komisarzem starostwa, lub przed jakim innym dygnitarzem. Czego się tak „copą“ kłaniasz co chwila i czego w zapale robisz go hrabią, kiedy on ledwo dycha i tyś mało co od niego cieńszy kieszenią.

Czy ty sądzisz głupi chłopie, że ten lub ów na tej udanej nibyto pokorze się nie pozna i czy w duchu z ciebie nie drwi, albo czy sądzisz, że jak jakie marki z kasy zginą, to ci zato darują? Przypatrz się na tych wójtów, co to z grubemi rybami popod boki chodzili, kiedy szło o ich głos za pańskim kandydatem, ale jak im się noga poślizgnęła, to czy ich oszczędzono, czy im gruntów nie sprzedano i z wójtostwa nie zrzucono na łeb?

A jednak mało między wójtami dziś się widzi ludzi, ale tylko jakichś kręcickich, którzyby nie wiem gdzie wleźli, jeno że ich tam nie zawsze proszą, a co smutniejsza, że starzy wójcia z przed 10-ciu lat nie byli tak lokajsko usposobieni, jak wielu z tych młodszych!

Powiadają uczeni ludzie, że wnuki są do dziadków z ciała i ducha podobne. Ja prosty Kuba nie uczyłem się takiej mądrości, ale przyznać muszę, że dusze pańszczyźnianych dziadków obiema nogami wpakowały się w wielu naszych młodych wójtów, ale czy na pożytek krajowi i swej braci siermiężnej, to broń Boże!

Widzimy więc, że ta straszna zmora i we wójtach siedzi i to całą gębą!

7.

— „No, ale ci chłopi, którycheśmy na posłów wybrali, to ci przecież chyba duszy pańszczyźnianej nie

mają“ — powiada mój dobry znajomy — czytając moje uwagi o pańszczyźnianych duszach w chłopach, i tych, którzy z pod strzechy wyszli.

Moi przyjaciele! to co piszę, to nie piszę dlatego, aby kogoś zohydzać, albo żebym znalazł łaskę u was, lub u waszych żon, ale piszę dlatego, aby wam wykazać, co za straszna zmora nas gnębi, i żeby się tego paskudztwa chłopi pozbyli. Toć z przykrością i ze wstydem muszę wam powiedzieć, że ta cholera i w chłopach posłach siedzi, lubo nie we wszystkich.

I żeby chłopi posłowie mieli tylko jedną wolną duszę, tę, co im Bóg dał, jako ludziom w czasach konstytucyjnych i z wolnych rodziców urodzonych, toby sprawa chłopska wyżej stała, szacunek ich byłby o sto procent lepszy, a i wyborcy w oczach kraju mieliby większy szacunek, bo jacy wyborcy, taki poseł, a jaki poseł, tacy wyborcy.

Jednak patrzcie, co się dzieje... Rozchodzi się o sprawę chłopską, dajmy na to w Sejmie. Jeden chłop poseł przemawia w imię sprawiedliwości, a drugi, niby chłop, staje i bezwstydnie kłamie, mówiąc przeciw chłopu. A lubo rozpalona od wstydu twarz świadczy, że on ma co innego na sumieniu, — lubo mu towarzysze w oczy mówią, że łże jak z książki, to on brnie błotem dalej, aby tylko otrzymać chwilowy poklask od tych, którym na rękę taka rozterka chłopów posłów. Cóż go pcha do tego? Oto chamska, prawdziwie niewolnicza dusza, która łakomiąc się na ordery i poklaski, każe mu się łasić, jak lisowi koło kurnika, bo tak jego dziaduś musiał robić.

I niby ogładzony, zna ustawy i wykręty różne, ale cóż, kiedy czyny jego świadczą, że to cham z przed sześćdziesięciu lat, który nawet tego nie nauczył się, co było bardzo trafne, ku nauce podane chłopom w elementarzu, który czytał, jak tam żółty, biały i niebieski motyl latały, póki było słonko, a gdy począł padać deszcz, to musiały szukać schroniska.

I przyleciały do lilji i prosiły, by je wpuściła pod listeczki, bo zmokną do niteczki, ale gdy lilja chciała tylko białego schować, a tych dwu nie, to leciały do dzwonków i słonecznika, które tych jeno chciały schronić, które miały ten kolor, jaki kwiat odnośny. A jakże te motylki sobie powiedziały: oto, „że wolę moknąć, a z braciszkami się nie rozłączę“!

Tak taki poseł czytał w elementarzu, ale czy się z tej bajki coś nauczył? Uchowaj Boże! On sobie myśli: niech was djabli wszystkich biorą, niech was stańczycy[1]) zgnębią, zgryzą, by i noga cało z was nie uszła, byle ja miał order, konsens lub pocztę i chwilowe względy u możnych. I my chłopi, mając takie dubeltowe dusze, chcemy, aby nas panowie i księża szanowali, słuchali i z nami się liczyli? Skąd, kiedy oni dobrze wiedzą, że my sami jesteśmy także pańszczyźniakami, jak ci, którymi ich ojcowie jedynie dlatego nie orali, że nie chcieli im tej wzgardy robić, i mieli do tego niższe nieco stworzenia, które się pospolicie końmi od wieków zowią.

Gdyby ci posłowie nie mieli dusz dubeltowych, toby sobie rozważyli, ile to wieków stan chłopski czekał na to, aby mógł z swego stanu wysłać reprezentanta do Sejmu, ile to ludzi szlacheckiego stanu nawalczyło się, aby ten chłop mógł mieć bodaj tę wolność, jaką dziś posiada, choć tego nie rozumie, ile to jego wyborcy znieśli mąk od władz świeckiej i duchownej (niestety), aby tylko chłopa i do Sejmu nie wpuścić, ile to pracy ich kosztowało, aby zwalczyć i złość zajadłą wyższych, i zazdrość a głupotę niższych...

A jednak z boleścią przyznać mi wypada, że u wielu z braci posłów chłopskich wzięła górę dusza pańszczyźniana, i jak najordynarniejsze parobasy liżą się możnym, aby sobie zapewnić mandaty i mieć ich oklaski, a nie baczą na swą godność chłopską, ani na swe sumienie, gwałtem im tę zbrodnię wyrzucające. Cóż to dowodzi...?

Oto, że nawet chłop ten i ów, wybiwszy się na prawodawcę, na posła, nie tylko, że się nie pozbył ducha pańszczyźnianego, ale go karmi i chowa w swem łonie w obrzydliwy, a szkodliwy sposób. W Sejmie warszawskim obecnie jest mnóstwo takich chłopów „mlamlusiów“.

6.

Dochodzę ze swemi duszyczkami do coraz drażliwszych rzeczy i stara dusza staje coraz śmielej we mnie i powiada:

---

*) To samo co u nas endecy.

— Wiem, co masz pisać. Masz pisać o tych chłopach, którzy pozostali księżmi. Za to pisanie spotka cię klątwa i narazisz sobie do reszty ten stan, który dziś jest tak potężnym, tak wpływowym, o którym powiedziano, że „jak cię ksiądz chwyci za połę, to mu dla spokoju puść cały płaszcz“.

A co się stanie z tobą przy wyborach? Ci księża, przeciw którym pisać się odważyłbyś, staną przeciw tobie i legniesz jak kloc, a na co ci tego? Czy nie mógłbyś tak oczu zamknąć na wszystko i nie być najgorszym? A czy cię o to chłopi proszą, abyś takie rzeczy pisał, i czy ci to wezmą za dobrą monetę? A nie lepiejby ci to cieszyć się łaską u tych ludzi? Chwaliliby cię, wszędzie zapraszali... A zresztą kto ci dał do tego moc i prawo?

Takie i tym podobne namysły podsuwała mi ta stara trucizna, dusza pańszczyźniana, i zatrzymałem się sporą chwilę nad jej uwagami... ale po dokładnem zastanowieniu, stanęła moja wolna duszyczka (Boże, chowaj mi ją na wieki taką!) — i tak do tamtej rzecze:

Nie, moja siostro, ty mi tak Kubą nie kieruj, bo ty mu źle radzisz! A ty chłopie, co czujesz, coś doświadczył, co ciebie i bliźnich boli, w czem upatrujesz zło, choćby cię i życie kosztowało, pisz śmiało prawdę, a ze serca, a nie ze złości, a nie bój się nikogo, tylko Boga! On widzi twe zamiary szlachetne i on przekleństwa, czy klątwy w błogosławieństwa obróci.

Taką walkę stoczywszy, chcę pisać o was, moi bracia chłopy, — coście po naszych spracowanych plecach, przy pomocy chłopskich krup i jagieł i tego czarnego chlebusia wydrapali się na święty stopień kapłański, a nawet i biskupi.

Mam tę odwagę, bom chłop wolny, a nie niewolnik, mam do tego prawo, boście przeważnie mymi braćmi z pod strzechy wieśniaczej, bom was znał od dziecka, obcował z wami, pókiście sutanny nie włożyli na się, bobym pragnął, aby między nami panowała harmonia, a nie rozterki, jak się często trafia, bobym rad widział w was prawdziwych przyjaciół ludu, a nie stojących jego interesom nieraz wpoprzek. — Pisać będę, choćbyście mię jeszcze gorzej nienawidzili, jak niektórzy z was obecnie, — bo widzę, że my, sami chłopi bez waszej pomocy niewiele zdziałamy, bo i to w waszym interesie leży, aby o was pisano. A choćby to pismo

i przykre wam było, to rzeczą waszą, jako braci, będzie, przyjąć takowe z miłością, bo też to brat pisze.

Pisać muszę, bo mię do tego zmusza dobra wola i chęć poprawy w tem, co między nami a wami kuleje. Pisać muszę, bo to może ułatwi nam w niejednem bliższe poznanie naszych żalów, które są powodem pewnej nieufności między jedną stroną a drugą — i która jest przeszkodą, że wy paraliżujecie naszą robotę polityczną, a my waszą. I chcąc to zagoić, to nie z pałką się do nas zabierać, nie z gromami, ale ze słodyczą bratnią, Chrystusową, zapytać: Bracia drodzy! Słyszymy wasze nieukontentowanie co do nas, — my słudzy Boga żywego, który jest samą miłością, my wasi bracia, kość z kości i krew z krwi, my chłopi, tylko w sutannach, my z pracy waszych rąk się wychowali i przeważnie z waszej szczodrobliwości utrzymujemy domy Boże, plebańskie, a po części i samych siebie... powiedzcie, co was boli, czego chcecie?... A wy tego pytania co do siebie, nigdy nam nie zadali, a żalących się albo nic, albo z zarzutem niesumiennym, jeżeli nie z potępieniem, odtrącili.

Pisać muszę, bo myślę, a myśleć to znaczy jeść, a któż głodniejszy jak lud? Pisać muszę, bo czy to pomoże czy nie pomoże, ale pismo moje mnie przeżyje, i świadczyć będzie na sądzie Bożym za mną, — że nie innem pragnieniem dusza moja była przepełnioną, pisząc to, tylko aby między dziećmi jednej matki, jednych nadziei i jednego celu — nie było tego kwasu, co dziś, tylko miłość, a zgoda — a pożytek.

Pisać będę, aby pismo moje dało kiedyś świadectwo historji ruchu ludowego i jego przywódcom, że ich niesłusznie wilkami zwano, że nie urojone aspiracje do was i nie chęć zwalczania was jako innego stanu — nie — jak strasznie myląc się, głosicie, — aby wiarę podkopać — a monarchów wymordować, pracujemy...

Mówić będę do was, bom nie kamień, nie baran — nie koń, ale człowiek, — którego ból serdeczny nad sobą i swymi braćmi, do tego całą siłą popycha.

Pisać wreszcie będę, bo widzę tysiączne rzesze ludu, które tego pisma łakną, które tego potrzebę odczuwają, które mnie o to proszą, a które mi mówią prawdę, nie obłudnie, i którym wierzę, których jestem rzecznikiem, których jestem posłem, którzy mimo wszelkich waszych machinacji mię kochają, i sądzę, że i o

mej duszy po śmierci nie zapomną. A zatem... grzmij Waluś, Bóg się rodzi!

9.

Sprzedali dwa woły, dali cię do szkoły... Ojciec jeden myślał, że to dobrze syna mieć księdzem, bo przy nim starość swobodna będzie, a choć się człek i zadłuży, to syn zostawszy księdzem, nietylko mu zwróci, ale dołoży. Boć to księdzu łatwiej, oskubać go wieczór, to na rano już obrośnie, to się jeszcze i gruntu przykupi. Więc nosi bącioły do miasta, jeno się przygarbi, a synuś mężnieje i śmiga w górę jak żyto po deszczu koło Wniebowstąpienia...

Ojcowina wracając do domu myśli: Boże mi dopomóż, ażeby ta chłopiec księdzem został, toby ta było i mnie łatwiej i gminie by było ładnie, że ksiądz z niej wyszedł. A matka tymczasem haruje wciąż z młodszą dziatwą, która się jeno cięgiem pyta, kiedy Wojtuś wróci na „wagacje". A gdy się pytają matuchny, na cóż się Wojtuś uczy — ona im z dumą powiada: a nie wiecie — dyć na księdza!

A w duchu układa: Wej, wej! kieby ino wlazł do seminarji, to za 4 roki już go wyświęcą, i jednego dnia patrzę, a tu synuś przy ołtarzu, a księży moc przy nim. — Ja z ojcem tuż, aż mi z radości łzy kapią, — a ludziom omal oczy nie wylezą i pytają się z obcych parafij: „a czyjże to syn, ten księżyk?" — A dyć to Pieron Wojtuś, a ot jego rodziciele!

A potem duma matka: będzie parę lat wikarym, to zatedy Marysia dorośnie i nie będzie bez tego, żeby jej wiana nie dał. Cóżby robił z pieniądzmi i dla kogo śparował... a na siostrę księżą to chłopczyska łase, że to hej!... A myślę, że i tym rakom młodszym poda rękę i pójdą do szkoły, bo czem ich dzielić! A przecie ta i o mnie po mej śmierci nie zapomni moje synosko...

A w kółku rolniczem usiedli gospodarze i radzą o tem i o owem, aż tu się furka migła, a wójt pyta: Któż tu jechał? — A to stary Pieron wiezie študenta do chałupy — odrzekł sąsiad. — Słychać, że się na księdza prowadzi... A żeby ta mu Bóg dopomógł, boby i nam łatwiej było chłopom — rzekł wójt — gdybyśmy mieli ze swego stanu księdza. Bo to teraz pan za panem, żyd za żydem, a my nie mamy nikogo, coby się nam pomógł z biedy wygramolić.

— Ej co prawda, toby godny księżyczek był z Wojtusia, bo to chłopczyna taka przyścipna, a kużdemu rżnie prawdę w oczy, czy to pan, czy chłop, a wczoraj słyszałem, jak nawet samemu kanonikowi dowodził, że chłopscy posłowie nasi w sejmie mieli rację, żądając lepszej ustawy łowieckiej i asekuracji — a wszystko nadarmosa.

— Słusznie mówicie, kumie — rzekł inny. Jakby nam to było przyjemnie, żebyśmy to mieli swego księdza. Człekby się przed nim wyżalił od serca, a on jako ksiądz nie bałby się prawdy możnym powiedzieć i musieliby panowie przycichnąć i ustąpić nam nie w jednem.

Takie i tym podobne rzeczy się słyszy, takie nadzieje żywią do synka rodzice, w tej mniej więcej intencji posyłają rodzice synów do szkoły, a te i tym podobne nadzieje żywią włościanie do syna chłopskiego, kandydującego do stanu kapłańskiego. Intencje wcale nie najgorsze, nadzieje możliwe do spełnienia. Boże Ojcze, a dajże ich dożyć i radować się biednym ludziom.

Lata płyną, jak woda w modrej Wiśle, a ty, chłopskie dziecię, łamiesz głowę nad książkami, że jeno trzeszczy. Pakują w ciebie to język łaciński, to grecki, a niemiecki i często o głodzie i chłodzie, ale nie pytasz nic, jeno się uczysz, aby się jeno tatusiowie nie gniewali. Postarzeli się oboje nielada, bo to nie żart, ile im teraz pieniędzy na ciebie potrzeba. Jakeś ta jeszcze pojętny, to chwała Bogu, ale jak masz łbinę ciasną a wpalą ci „dwójkę“, to 20 złr. ojciec musi dać na czesne, które zapewne ludowcy musieli wymyśleć na pomożenie chłopskim synalom.

Całe 10 miesięcy nie ma cię w domu i jużeś zapomniał, ile trudu kosztujesz rodziców, aby ciebie w szkole utrzymać, albo masz mgliste o tem pojęcie. Siostry i bracia, których się kwoli ciebie okrzywdza, mogliby coś o tem powiedzieć, ale to wszystko wszyscy znoszą cierpliwie, abyś tylko szkoły ukończył i księdzem został.

Nareszcie dał Bóg, ta chwila nadeszła, włożyłeś sutannę na siebie, a w końcu nadszedł dzień twych prymicji.

Ruch we wsi niezwykły. Widać go w kościele, na plebanji, w domu rodzicielskim i w gminie.

W kościele kulawy kościelny i jasnokościsty organista ubrali ołtarze w odświętne przybory. Pleban jak

nie kutwa, to szykuje się jak do odpustu, bo wie, że zjedzie kilku księży z okolicy, a i sam dziekan. W domu rodzicielskim z radości omal nie pomrą, a we wsi szykują chłopaki banderję. Poszukali czapek czerwonych, konie ubrali w dzwonki, do rąk mają chorągiewki barwne, a dziewczęta ustrojone, z wieńcem ogromnym, gdyby do wesela...

Bo to twoje wesele... Chłopaki wspominają, jak się z tobą bawili, kąpali, do wiejskiej szkółki chodzili, a czasem i na błoniu paśli. Studentem gdyś był, drużbowali z tobą nieraz, tańczyli... toć jeszcze raz ci posłużą na ostatku. A niejedna nadobna Marysia ostrzyła se ząbki bieluchne na ciebie, myśląc, że się może do roli powrócisz, ale dziś widząc, że to nic z tego, z gustem ci posłużyć chce ostatni raz, żeś ją niegdyś na weselu tak po pańsku wytańcował i wyściskał.

W pośród banderji braci przybyłeś do świątyni, gdzieś do mszy św. sługiwał, otoczyły cię dziewuchy wieńcem i pierwszy raz odprawiłeś mszę św. w swym kościółku... I tulą się do ciebie chłopskie głowy, a ty im błogosławisz z radością i serce twe może jest i pełne miłości wtedy do wszystkich. Dzwony grają jak w dzień Zmartwychwstania, organista beczy na chórze co jeno gardło pozwoli, a sąsiedni proboszcz powiedział kazanie siarczyste o stanie kapłańskim, wspomniał tu i o tem, że to straszny obowiązek twój, a na chlubę gminy dodał, że jeszcze z tej parafji nigdy chłopski syn księdzem nie był.

Po jakim takim obiadku wszystko się powoli rozjechało i rozeszło... Wieś wróciła do stanu zwykłego, a jeno jedni mówią o kazaniu, drudzy, że futraś był niezły, inni, żeś się zmordował, żeś mizerniutki i cienki jak panienka, a inni i to zauważyli, żeś smutny i nieswój.

Po paru dniach dostałeś bracie kapłanie, aplikatę na wikarego i zacząłeś urzędowanie kapłańskie i pracę nad ludem — nad swą bracią, choć nie w swej parafji.

Takim sposobem tysiące chłopskich synów weszło w te szranki, w które niegdyś wolny wstęp był jeno uprzywilejowanym synom, jeno szlachcie, a tylko wyjątkowo synowi poddanego. Obecnie szlacheccy synowie idą na inną drogę, a wyjątkowo tylko zabłądzą w stan kapłański, czy po to, aby wikarym być długie lata? Niema głupich...

Cóż to za radość, co za szczęście dla was bracia włościanie, że synów waszych biorą, poszukują, nie — gwałtem chcą porwać do tego stanu tak wysokiego, tak ważnego. Jako oficerowie parafji mają wpływ nie tylko na sprawy duchowne chłopów, ale i na doczesne, bo mają władzę nie tylko na niebie, ale i na ziemi... bo mają miljony ludu, który ślepo im posłuszny był, jest, a jak nie chce, to mają na niego leki nie byle jakie. A z taką armią, mającą takich oficerów, któż się ośmieli zmierzyć — czy jest taka siła?

Będzie wam które prawo niewygodne, ustawa, która jest korzystniejsza dla innych stanów z waszą krzywdą, cóż będzie łatwiejszego, jak kapłanom, naczelnikom parafji, oficerom, zjechać się każdy do swego generała biskupa i postanowić, że tylko takich posłów do sejmu i parlamentu wybierać poleci z pomiędzy inteligencji, która tę ustawę zmieni...

Zresztą mając z nimi codzienne stosunki, cóż łatwiejszego jak temu, lub owemu panu powiedzieć: „Panie, kocham pana i szanuję, ale wspomniałem na te tysiące mych braci chłopów, na moją siostrę, szwagra i braci, którzy już tak przywykli do ciężarów i krzywd z nierówności ustaw, że nawet nie wołają o zmianę — bo nie umią, nie śmią, boją się i nie wiedzą jak temu zaradzić, ale ja ich dziecko wiem, jaka do tego droga. Toż panie bój się Boga, to jest przecież krzywda, i w imię słuszności i tego Boga, którego sługą jestem, wpłyń na to, aby im ulżyć.

O, i nasi bracia, chłopi kapłani, kiedy się dostali na te stanowiska, nie zapomną o nas! Co to będzie za rozkosz po tylu wiekach, tylu mękach pańszczyźnianych, że nam lepsza dola zaświeci, a kto to zrobił? Oto nasza kochana dziatwa chłopska, nasze księżycki! Babo, daj gęby... żeś mi takiego syna zrodziła..., a wy młode mężatki, jeno chłopaków rodźcie, a na księdza. Olo Boga, olo Boga...

A starosta, a rząd i te różne obiboki, co jeno z nas wciąż pieniądze drą, a trzeszczą na człeka, jak do której kancelarji się wchodzi, co to wyrzuci za próg za lada słówko, no! ci się wtedy będą mieli z pyszna. Jegomościnki nasze, oni się ujmą za nami, bo to były nie bojące — choćby naprzykład Piorun Wojtuś...

Nadziejo! powiadają złośliwi o tobie, żeś jest matką wszystkich głupców. Ale nie chłopu o tem gadać, on wie, że nadziei nigdy tracić nie trzeba, choćby było i najgorzej. A cóż, kiedy taka era zaświtała, że pańskie zniesiono — konstytucja nam dana, szkoły na gwałt się budują, a dziecka w nich jak mrowia, a wszystko się uczy i gada „bez zęby", kiedy nieprzymierzając sam pan dziedzic. A jak przyjdzie egzamin, to się zjeżdżają panowie i księża z okolicy, i aż całują tych zmorków, co opowiadają o czemsi, o jakichsi królach dawnych, i jeszcze im prezenta dają, za co? Ot, jak się panu alboli księdzu co ubrda*) to rady nie ma, zwłaszcza jak ma pieniądze.

No widzicie, kumie, a któż to nam wszystko zrobił i robi? Ot, jušci ono, nasze dzieci... Ale kto będzie robił, jak wszystkie dzieci uczą się na panów, i każde będzie chciało drapać się w górę i... Żeby jeno nie zapomniał wół, gdy był cielęciem.

Oto nadzieje i zdania chłopów w Galicji około roku 1865, 1866, 1867 — do 1879.

10.

Rola dla Was, bracia chłopi kapłani, była bardzo zaniedbana. Kto przez wieki ją uprawiał, kiedy ówczesny kler przeważnie zajęty był polityką tych, którzy mu dawali sute beneficja, kiedy się na to zdobyć nie mógł, aby jarmarki dla chłopów były nie w niedzielę, ale w dzień powszedni, i ze wstydem trzeba powiedzieć, że rządy zaborcze dopiero to uczyniły. Czy to kler mógł wtedy myśleć o chłopie i o poprawie jego stanu materjalnego, kiedy magnat mógł go z kościoła wyrzucić z całą służbą i bagażem, jak to uczynił starosta Kaniowski.

Zrobiono z chłopa bydło robocze, nie zdolne nawet do myślenia i do dzisiaj chłopa trudno przyuczyć, aby mógł coś porządnie myśleć. Podczas rządów austrjackich, cesarz Józef II. wydał kilka ważnych rozporządzeń dla ludu — jak akuszerki, sadzenie drzew przed ślubem przez młodych, zakazał jarmarków w niedzielę, i aby dziedzice pożyczali chłopom zboża na siew, zakazał zakuwania ich w dyby i oznaczył, ile ma ksiądz brać za jura stolae, ale to prawie z jego śmiercią upadło.

---

*) Upodoba.

Że księża ówcześni o lud karków bardzo nie łamali, a może i nie mogli, to się temu i dziwić nie można. Nabożeństwo i pobożność ludu w prawdziwem tego znaczeniu bardzo była powierzchowną, a wiara w gusła i zabobony była do potęgi rozwielmożniona między ludem. Pito na gwałt gorzałkę; robił to lud, a po większej części i pasterze jego. Żyją jeszcze świadkowie, coby temu dali świadectwo.

Kradzieże były na porządku dziennym, a lud nie miał ani świadomości grzechu. Kościoły były opustoszałe i obdarte, słowem, rola kapłanów chłopskiego stanu była nie do pozazdroszczenia — a robota około winnicy pańskiej była nad siły i nie prędko obiecywała plony.

Lud był krnąbrny, a po roku 1846, rozhukany i rozpity do ostatnich granic.

W miarę, jak się uświadamiał, robił się potulniejszym, i tu i ówdzie kapłan ten i ów wymową, przykładem, a najbardziej teroryzmem najsroższym — bezwzględnym zdawał się zapanować nad niesforną falą. W razie oporu kańczug, cybuch i pięść dopełniała nauki posłuszeństwa.

Musiano go przynaglać do stawiania kominów, nawet do czesania i stosownego ubioru. Księża wówczas bawili się z ludem po weselach, chrzcinach, majówkach i zdawało się, że tego horyzontu ich nikt nie zamąci.

A teraz mój Boże, cóż się to stało, że my, wasi bracia, sprzeciwiamy się Wam i tu i ówdzie słuchać was nie chcemy...

Widzę Wasze twarze od wikarego i wyżej — i słyszę słowa: Co za wilk w owczej skórze, taką minę słodką robi i pochlebnie pisze o klerze, a co to sam dziś Piastowcy wyrabiają.

Moi bracia, ani się nie silcie i nie psujcie sobie płuc na takiego chłopa jak ja, bo to lekarstwo mi nie pomoże, a jakiego mi i moim zwolennikom dawno potrzeba, to się wam potem sumiennie przyznam, jeno powoli, nie trza przeć, bo się to wszystko psu na budę, ale nie nam zdało.

Wiele to czasu trzeba, aby cały lud zaniedbany podnieść wyżej, tak na rozumie, jak i na majątku. Ile to wysiłków, ile pracy i poświęcenia pojedyńczych ludzi i ogółu praca ta wymagała, aby tę skałę, ten kamień ruszyć z wiekowego snu, a jednak i to się udało, dzięki

literom. Te mało znaczące na oko znaczki, przy pomocy szkół i duchowieństwa, potrafią zrobić tę cudowną iście przemianę. A lubo dziesiątek lat trzeba, zanim takie zakute Maćki zrozumią, co za różnica między literą c, a, f, i że takie niby widełki z ogonem, to nie bączek od fajki, ale y, to jednak i to się dało zrobić. Lud niechętnie, ale czytał, a na pochwałę duchownych napiszę, że znałem i takich kapłanów, którzy na spowiedzi chłopom za pokutę kazywali pewną liczbę książek czytać.

Czego to dowodziło?

To dowodziło, że kler wtedy nie miał duszy pańszczyźnianej i pragnął ją i w chłopach umorzyć. Nie mogąc do rozumu chłopa inaczej trafić, to do jego nałogu pijaństwa brał się despotycznie i zagroził niejeden ksiądz, że kto ślubować od wódki nie będzie, to nie będzie ani za kuma, ani za starostę na weselu, a gdy umrze, to mu każe na trumnie wymalować flaszkę z kieliszkiem. A lud, widząc błogosławione skutki trzeźwości, kajał się i nieco piciu folgował. Ten despotyzm, przymus, przyjął bez szemrania, bo widział, że to dobre dla niego leki, że szedł złą drogą.

Póki chłop był stale pijany, cóż go obchodził cały ten boży świat? Ale nie tylko że świat, ale nic go nie obchodziła ani własna żona i dzieci, które żyły jak dzikie stworzenia. Nie obchodziło go własne gospodarstwo, które było do niczego, jak się powiada; nie obchodził go wójt ani gospodarka gminna, która to władza zwykle legiwała pod stołem u żyda. A na księdza chłop spoglądał z bojaźnią, bo wiedział, że za upicie się wybeszta go z ambony.

Mimo to wtedy żaden biskup listu nie wydawał w tym duchu, że za picie nad miarę nie będzie rozgrzeszenia. Księża, lubo złe widzieli, nietłukli ich tak zawzięcie, a nawet się bawili z ludem wesoło, który się wtedy zwał „dobremi owieczkami“, a tylko tak dowcipny, jak sławny ks. Machaczek, powiadał, że jak mu Pan Jezus na sądzie bożym każe przedstawić swoje owieczki, to on powie, że nie miał owieczek, tylko same świnie!

Gdy chłop nie był posłuszny i w pijaności coś proboszczowi uchybił, to zwykle charapem brał kocie rżniecie, albo świątobliwą ręką w pysk, a widziałem, jak starego chłopa za głupstwo w r. 1873, bił przysiężny na moście na rozkaz proboszcza, że bratu księżemu zło-

dzieju powiedział. Zgroza mię przejmowała już wtedy na taki despotyzm i z bolem patrzyłem, jak 60-letni starzec musiał kożuch nowy zdjąć i wytrakować swe spracowane kości na moście. Tak kazał ksiądz wójtowi, a ten wyrok z gustem wypełnił.

Gdy konstytucja nadała chłopu wybór posłów, tym ani w głowie było znaczenie tychże. Ani się o to pytali, ani turbowali. Wyborcy spytali się proboszcza, na kogo głosować, a wola jego była dla nich najświętszym rozkazem. A po wyborach dobre panisko lub dobrodziej poseł dał kiełbasy, wina, wódki i piwa, toć chłop się upił i ujadł, jak cztery dziewki, a lubo go i „ciągło“ z przepicia, a proboszcz to widział, to za to publiki nie było, bo to były wybory.

Do Rady powiatowej jak wszedł jaki organista albo starszy brat z jeden, toż to nie wiedział chłop, jak ma usiąść i cieszył się, że ani w pysk od nikogo nie bierze, i godził się na wszystkie wnioski, jakie tylko pan lub ksiądz stawiał. Że on ma prawo mówić, że może niektóre zarządzenia były korzystniejsze dla innego stanu, niż dla chłopów, skądże on o tem mógł wiedzieć? Prócz złotego „ontarzyka“ nie czytał nic więcej, a prócz pieśni o Michałku i Zuzannie, co kramarze pod kościołem sprzedawali, nie znał innego druku. Widział, że proboszcz i dziedzic mają gazety, ale on nie głupi takie rzeczy czytać, co jeno ci czytają, co nie mają co robić lub dużo pieniędzy. Na takich to chłopów patrzeliśmy z podziwem i bojaźnią.

Byli starszą bracią w kościele, prowadzili kompanje na odpusty, rozdawali światło podczas uroczystości, opasywali w paski poświęcane, byli wójtami i w odpust od proboszcza dostawali po obrazku, szklance wina i po kromce kołacza. Nie pożądali więcej, bo ani się im śniło, czy jeszcze jest co dla nich do żądania.

A tymczasem w domach robiło się coraz biedniej: drzewo drożało, boćki siarczyście pracowały i parafje się w ludność podwoiły. Trzeba się było lepiej ogarnąć i przyodziew rósł w cenie okrutnie, a wydzierkasy różne robiły się coraz tęższe, i co się płaciło nie w jednej gminie podatku błoniowego 16 złr. rocznie, to teraz wójt (jakiżby jak nie złodziej) wybrał aż 130, i lud zaczął się zastanawiać, co to dalej będzie! A tu co chwila bank włościański (złożony pewnie bez ludowców) sprzedawał chłopom zagrody, a jeżeli który jako wyszedł, to wyglą-

dał, jak niejeden organista, gdy go napędzą po 30 latach służby św. Kościołowi.

Aż tu o coś się proboszcz zmarkocił na starego pana posła i na ambonie przy nadchodzących wyborach powiedział chłopom, że się nie mają na żadnych panów co oglądać, bo dziś niema panów, a jeno są żydzi, że powinni porządnego chłopa upatrzyć a wybrać. A lubo się z panem później porozumieli, to chłopi zapamiętali lepiej te słowa, jak kurendę biskupią dzisiaj. Takim przypadkiem dowiedział się chłop, i że on może być posłem, a potem i to, że panowie po sejmach nie wszyscy dobrze o nich myślą. I to był pierwszy numer „Przyjaciela Ludu“, lubo go nie drukowano, a autorem jego był ksiądz.

Ale naszym kochanym synom, a teraz kapłanom było tego za mało. Widząc, co to za środek do dźwignięcia się z letargu jest gazeta, póty študerowali, póki nie stworzyli pisemka dla ludu. A więc po „Dzwonku“ ukazała się „Chata“ i „Nowiny“, i dzisiejsi, tak zwani „burzyciele i zajadli ludowcy“ mają wiele do zawdzięczenia tym pisemkom.

Ale pisma te mogły tylko do czasu wystarczyć ludowi. Artykuły w nich pisane obracały się tylko przeważnie w żywotach świętych, w opisach Rzymu i kościelnych rzeczy, a czytelnicy, nie czytawszy nic nadto lepszego, chwalili sobie taki pokarm. Nie wiedzieli, czy można jeszcze o czemś więcej pisać i dziękczynne listy pisali na cześć tych, co pracowali w tym zawodzie. I te gazety były drugim numerem „Przyjacielu Ludu“, a wydali go znowu kapłani, wówczas o jednej, polskiej, wolnej duszy!

Ale czyż można zawsze chodzić w długiej koszuli, albo czyż można całe życie kołysać się w kołysce? Uchowaj Boże, przyjdzie czas, że kołyskę się musi wyrzucić, a myśleć o łóżku, a portczęta trzeba naciągnąć koniecznie, choćby to i płótna więcej wychodziło!

Te jednak gazetki pisały bardzo mało o polityce i chłop z nich nie mógł się dowiedzieć o swych prawach. Wszelka praca politycznych działaczy była przedstawiana idealnie i w krótkości, a przecie z biedy, jaka chłopa gniotła, domyśliwał się tenże, że jest przyczyna jakaś tej jego niedoli, o której atoli nie może się dowiedzieć nijak.

I patrzył z żałością, robiąc jak wół 6 dni szarwarku, czemu to pan, mający więcej jak cała wieś gruntu i psujący najwięcej i w najgorszym czasie drogi, ani dnia na szarwark nie idzie, a tylko da jakich zgniłek na most, który jest pełen dziur, trwa zaledwo rok, dwa. On, gdy nie wydzie na szarwark, to go sekwestrują, a tamten jeno się półgąbkiem uśmiecha.

I przyszło mu na myśl, bo trzeźwym będąc, uczył się już myśleć, co w tem za moc boża, że jego z szkapskami gonią djabli wiedzą z jakimi forszpankami, to z wojskowym bagażem, to za gminnemi sprawami, a pan o tem ani zbyli.

I patrząc na swoje zryte ziemniaki przez dzikie wieprzki i żyto stłoczone przez sarny, pomyślał: „mój Boże święty... tak się naharowałem cały dzień, a w nocy zamiast sobie kłąb wyprostować, to muszę tu całą noc cupieć... a cóż mam zato?

A jakbym to bestyjstwo zabił, to za co siedzę w dziurze miesiąc, albo i pół roku... kiedy tamten za zabicie człeka — ledwo rok dostał kozy?

A ta odrobina soli, która jest moją jedyną omastą, czego ona taka droga, kiedy, jak słyszę, tyle jej jest w naszej ziemi? Powiadają, że to rząd winien... ale czyby się nasi posłańcy nie powinni śmiało o to za nami upomnieć?

Takie i tym podobne myśli przychodziły mądrzejszym z ludu i w ich głowach świtała już potrzeba nowego, radykalniejszego pisma jak dotychczas czytał. On poczuwał już swe bole i upośledzenie, nędza w jego domu grała coraz na głośniejszych organkach, a nie miał się przed kim ani pożalić, a zresztą widział, że wszyscy milczą i cierpią.

Ale biada milczącym, była, jest i będzie!

II.

I wysunął się na widownię ks. Stojałowski, który, obcując z ludem, a znając dobrze, co się z tym ludem wyrabia, co się mu należy, a co się mu daje, uderzył w ton ostrzejszy, którego chłop nigdy dotąd nie słyszał. I wtedy padł postrach na panów, którzy zręcznie umieli opętać książąt Kościoła i wmówili w nich, że to prąd antychrześcijański, a ci najnierozważniej kazali

kapłanom, chłopskim synom, ten ruch ich braci najostrzej zwalczać i puścili z bronią duchowną braci na braci! Nasze kochane dotąd dzieci, z których kapłaństwa tyle było uciechy, których nauki tyle lud kosztowały — musiały na swych braci uderzyć — bo tego wymagał interes panów!

Znalazła się paczka duchownych o chłopskiej pańszczyźnianej duszy, która, łaknąc odznak i łask swych przełożonych, poszła dalej jak może było w intencjach przełożonych, i tego człeka z talentem i umiejącego grać na sercach ludu, zamiast przytulić i ruch wszczęty przez niego poprowadzić pod swoją komendą do walki o prawa ludu, — rzucili nań niesumiennie kamienie, które, jak się okazało, zaszkodziły bezpowrotnie nie Stojałowskiemu wonczas, ale niebacznym i krótkowidzącym.*)

I słyszeliśmy z ust braci naszych, kapłanów, którzy mieli wolną duszę katolicką, z jaką boleścią musieli podpisywać protest przeciw temu, który miał wówczas wodze ruchu ludowego w ręku. Oni duchem proroczym przeczuli, że ten ruch ludowy, mądrze poprowadzony, dałby korzyść i ludowi i im samym, że tu chodzi o kieszeń panów, nie o wiarę, o którą dziś jedynie tylko chłop dba, ale nie panowie. Ci wiedzieli lepiej, jak ich generałowie, że lud raz poznawszy, że ma prawo wołać dla siebie o lepszą dolę, nie da sobie więcej oczu mydlić, ale broniąc swego wodza, musi się rzucić nawet na tych, których dotąd ślepo słuchał, a co gorsza, mieć ich w strasznem podejrzeniu, że oni mu są nieżyczliwi, że go zdradzają.

I gdy im przyszło podpisywać przeciw Stojałowskiemu protest, to płakali i złorzeczyli komendzie... A płytkiego rozumu karjerowiczom kpiny do głowy przychodziły. Znając serca kolegów, mówili: musiała to drżeć ręka temu i temu księdzu, gdy to pismo podpisywał!

I tę to chwilę trzebaby krwawemi głoskami zapisać w rocznikach kościoła. I tu jest początek rozdwojenia między nami a wami, mili bracia. Tu jest wina po stronie waszych i naszych generałów, którzy nas lekko-

*) Dziś nawet katolickie pisma kadzą Stojałowskiemu ale za żywota dręczono go ze strony duchownych do niemożliwości. Autor.

myślnie odepchnęli i nie chcieli nam w tej walcę o byt przewodniczyć.

I ta chwila była stosowną, aby chłopski syn kapłan zebrał to, co siał od 30 lat, żeby ta szkoła, którą on budował i w której uczył, żeby ten chłop tak pielęgnowany i tresowany przezeń, miał w tej twardej walce jego za wodza...

Nie dano wam zbierać plonów swej pracy, wy musieliście na swych braci z bólem serca niektórzy się oburzyć...

Wtedy to lud powiedział: „hola dzieci!... Wy za nasz chleb kamieniem nas bić chcecie? W was tchnięto duszę niewolniczą — wy przysięgali słuchać biskupów, ale my nie, w tym wypadku. My o swe prawa bez was walczyć musimy!“

A wtedy przyszedł trzeci numer „Przyjaciela“, który we Lwowie wydrukowano, a który wymalował na czele wybranych chłopskich posłów: Potoczka, Kramarczyka i Stręka. I gdy Potoczek Stanisław kandydował w Dąbrowie do Wiednia, a pisząc, roznosił „Przyjaciela“ i dawał chłopom do czytania, to księża już rozgoryczeni i już napojeni ideą swych przodowników, pytali: „a znasz ty tego Potoczka?“

Ale z Potoczka rzeka nie powstała, jak mniemano, Kramarczyk się wołał pokramarzyć, i dano mu order i pocztę, toć „Przyjaciela“ kopnęli i poszli do żłobka, a na nas za nasze przekonania, każą wam chłopscy synowie kapłani — rzucać gromy, zowiąc wilkami, burzycielami i każą wam wojować z nami.

Kto? Panowie!

Ale powie kto: Stołajowski był niemożliwy i nie sposób było wtedy z nim iść...

Nie jestem dziś jego zwolennikiem i surowo go sądzę, toć i temubym z biedy uwierzył. Ale czyż nie było innego kapłana, którego serce zabolało na widok poniewierki ludu i wystąpił jak na swój czas dość śmiało w jego obronie... Czy interes wiary i kościoła wymagał tego, aby go z poselstwa zrzucać i mianować demagogiem i zmuszać, by się musiał przyznać do winy niepopełnionej i złamać mu lot jego skrzydeł iście chrześcijańskich?

Ci, którym był niewygodny, rzucali nań paszkwile w sążnistych broszurach, pytając go szyderczo, kto go rodzi? A dla szyderstwa, wyliczając jego tytuły, do-

dawali „i prezes handlu skór". Widząc, że obedjencja*) go obowiązuje, zmienił postępowanie. Dziś smaga ludowców bez litości, nie pomnąc, jakie go smaki spotykały, gdy stał na tem stanowisku, co my dziś, a zapomniawszy, jak mu w Sejmie podsuwano, że chłopów do rzezi namawia, dziś z lubością czyta list ks. Wałęgi biskupa, że „ludowcy chcą monarchów wymordować". To ks. Kopyciński!

Mój Boże, co to za robota... i to ma być robota dla ludu polskiego!

Och duszo pańszczyźniana, jakiżeś tu tryumf odniosła... ale czy tryumf?

12.

Z początku duchowieństwo nie tak zacięcie stanęło przeciw ludowej polityce, a wyjątkowo niektórzy miotali się bezskutecznie, z ujmą własnej godności.

Nadszedł rok 1894-ty, stuletnia rocznica bitwy racławickiej, podczas której to kosy chłopskie pokazały, co umią, coby mogły dokazać, żeby ich tylko chciano użyć, żeby tylko im pozwolono. Nierozumna polska szlachta, tak była zaślepiona, że wolała zgubić kraj, siebie i całą tak bogatą, tak piękną Rzeczpospolitą — Polskę, aniżeli popuścić jarzma chłopom, aniżeli ich wysłać z Kościuszką całą siłą na wroga.

Rok 1894-ty był zapowiedzią w Galicji jakiejś weselszej ery. Sejm krajowy przez usta dziś może najrozumniejszego pana polskiego, hr. Stanisława Badeniego, zrównał gniotące lud dodatki na szkoły, co wskazywało lepszą dolę na przyszłość. Na placu wystawowym we Lwowie urządzono panoramę, w której namalowany czyn polskich chłopów z nigdy niezapomnianym Kościuszką zachwycił nawet cesarza i jego świtę. Panoramą tą, z wiedzą czy bezwiednie, artysta polski zwrócił uwagę na polski lud, grzebiący się z wiekowej niedoli prawie sam, i niejako przemówił do narodu: „Patrzaj! co za lud piękny, odważny, pracowity, przywiązany do Boga i swej ziemi. Inni, obcy, umieli go zaprządz do swej bezbożnej roboty przeciw interesowi ojczystemu, a my się nim zająć więcej nie możemy? Czy to nie wstyd, i czyby się to narodowi nie opłaciło?"

*) Posłuszeństwo wobec biskupa.

A dojrzalsze jednostki z ludu ocknęły się i zapragnęły ujrzeć się razem, porachować i założyć gniazdo, stronnictwo własne. I zwołano się przez „Przyjaciela Ludu“ na chłopski wiec, a „Sokół“ lwowski użyczył im wspaniałomyślnie swej chaty na to zebranie. Ogół narodu przyjął to obojętnie, z obywateli nie wielu przybyło, księża, synowie chłopscy, jedni byli zajęci wyklinaniem tych, którym się jeść chciało, i zjechali się, aby radzić nad podniesieniem swego stanu, drudzy pilnowali spokojnie swego zajęcia. Gazety płatne, ujadając jak zwykle, wyśmiewały się z wiecu, a uczciwsze jeno podnosiły uroczysty i poważny nastrój wiecowników.

Gołębiej duszy i nadludzkiej niemal miłości ś. p. Kornel Ujejski nadesłał wiecownikom list serdeczny, pełen miłości tak do chłopów, jak i do całego narodu. Wieszcz ten przeczuł, że teraz czas nadszedł, że chłop wystąpić musi na szerszą widownię polityczną, że mu się to należy. A że wiedział, ile w sercu chłopa rozumniejszego nagromadziło się goryczy ku tym, którzy, jeżeli nie całkiem, to w dużej mierze do biedy chłopskiej się przyczynili, upomniał lud sposobem iście apostolskim, aby nie miał żalu do nikogo, żeby się upominał o swe prawa spokojnie. Tak pobłogosławił ruchowi ludowemu, i tak obrok duchowny dał stronnictwu ludowemu syn szlachecki, który patrząc na djabelską robotę chłopów w roku 1846, wysnuł ze zbolałej duszy najwspanialszą modlitwę polską, ów chorał: „Z dymem pożarów“, w którym broni chłopów, że „oni temu nic nie winni...“ A nasi bracia, chłopi-kapłani, zmuszeni byli nas wtedy wyklinać!... Ale Bóg z wysoka inaczej się zapatrywał na dzieło swych najwierniejszych czcicieli, niż biskupi. Tu szło o politykę, nie o wiarę. Pan Bóg wiedział, że wielu z Jego sług odzywa się w imię Jego, a zręcznie usuwając Go na bok, stawia na Jego miejscu samych siebie, swoje ziemskie cele. I klątwy zamienił w błogosławieństwo.

I tu się godzić każdy musi ze zdaniem ks. biskupa tarnowskiego: „co Bóg winien, że ma złe niektóre sługi?

* * *

Przy wyborach w roku 1895 lud w niektórych powiatach nie posłuchał swych duchownych i mimo, że

w pocie czoła harowali za kandydaturami panów, wybrał kilku posłów według swej woli.

I patrzyli ze wstydem kapłani bracia, synowie chłopscy, jak ich bracia, kość z kości, i krew z krwi, szli do walki wyborczej jak lwy. Widzieli, jak kładli na stół przed komisją wyborczą grosz Judaszowy, za który ich starano się przekupić i zgwałcić chłopską niezepsutą duszę, a który to grosz jako biedakom bardzoby się przydał.

Patrzyłem na Wasze oblicza, bracia kapłani... i widziałem, co się w Waszej duszy działo. I pewno wielu z Was zazdrościło chłopom ich wolnej duszy, podczas gdy Wy musieliście wstydem płonąć, że Wam wpakowano z góry duszę pańszczyźnianą.

Za kogo i za co? Za tych, co mają prawo patronatu i z których łaski a miłosierdzia dostaliście i dostajecie przeważnie probostwa i biskupstwa. Darmo się nic nie dostaje, a za takie godności chłopski syn odwdzięczyć się musi, choćby własnym wstydem i wbrew swemu sumieniu. Inaczej biada mu!

Aby utrącić stronnictwo ludowe, założono w Krakowie pismo, niby dla ludu, „Krakusa“, którego podjął się pisać — a któżby, jak nie chłopskie dziecko — Matusiak, profesor. Któż nie pamięta, co ten człeczyna nie wypisywał w tej gazecie na „Przyjaciela“ i jego redaktorów. Cichy, pracowity, a ludowi całą duszą oddany Litwin, Wysłouch, w jakichże potwornych kształtach był nam przedstawiony, a jego pełna patrjotyzmu i miłości Ojczyzny żona, uchodziła nieomal za bestję apokaliptyczną. A jednak sumienny historyk musi kiedyś oddać tym ludziom sprawiedliwość, a lud polski mile ich pamięć wspominać będzie. Tych ludzi, jakoteż i tych, którzy śmieli pisywać a i czytać „Przyjaciela“, nazwano massonami i ich usłużnikami, a główny rej w tem wodzili nasi bracia kapłani, zarażani wówczas już coraz bardziej duchem pańszczyźnianym.

Bojąc się, by chłop z sznurka im się nie oderwał, by go mogli jak niedźwiedzia na łańcuszku wodzić, dopuszczano się na biednym chłopie niesłychanych gwałtów. I radziłbym duchownym, aby sobie wzięli roczniki „Przyjaciela“ z r. 1893, 1894, 1895 i 1896, i przeczytali żale tych chłopów, których niektórzy kapłani barbarzyńsko prześladowali.

* * *

W r. 1896 podczas sejmu dostałem list z Grębowa, że zmarłego śp. Gila, starszego, a bardzo uczciwego człowieka, lubo się wyspowiadał, ksiądz do kościoła przyjąć po śmierci nie chciał, jako czytelnika „Przyjaciela“; a gdy chłopi wnieśli, ks. wikary kazał go wyrzucić z kościoła. Mój Boże! Jak nie podnosić krzyku na taki czyn było! Gdy się kościół wali, to z chłopa drą ostatni grosz, ale co mówię — on go sam dobrowolnie daje, i bydłem i sobą gnaruje, aby tylko świątynia Pańska była ozdobioną. A każą mu wozić piasek lub żwir do kościoła, to wozi, a każą jechać po organy lub dzwon, to pojedzie i myśli: a niechże ta, dyć to na chwałę Bożą, toć człekowi zagrają choć na pogrzebie i zadzwonią, bo i czegóżby się moje dusisko tułało na tym świecie.*) A każą dawać na wypominki w dzień zaduszny, nie jak dotąd po trzy centy, ale po 5, jako że dziś, kiedy wszystko podrożało, to i dusze zmarłe za bądźco do nieba jasnego nie wyprawi — to dam, ktoby tego żałował. Więcej się nieraz przepije. A do żywego różańca, starszy albo starsza siostra wybiera co miesiąc po 20 albo i po 50 ct. od duszy na ratunek św. Kościołowi. Ciężko, bo ciężko, ale cóż robić. Zresztą, któż to ma dać jegomości? Panowie? Kiedym, jak żyję, nie widział pana ani pani, żeby tak na wierzchu różaniec na sobie nosili, a tylko my, chłopi. A po śmierci, gdy podług dawnego zwyczaju ciało tego nędzarza chcą sąsiedzi wnieść ostatni raz do tego domu Bożego, to chłopski syn, ksiądz, z którego wyświęceń było ongi tyle radości, tyle nadziei, brutalnie go wyrzuca... Za co? Był pijakiem? — pytacie, był złodziejem, cudzołożnikiem, podpalaczem, mordercą, świętokradcą, czarownikiem, czy dom rozpusty założył, ku zgorszeniu całej okolicy? Nie, on był stokroć większą potworą, to był człek gorszy, jak Madej-rozbójnik — jak wszyscy grzesznicy, — przeciw którym musiano aż klątwy z stolców biskupich rzucać, bo on chciał mieć swój własny rozum!

Żeby tak zrobiono jakiemu takiemu panu, coby to było gwałtu! Takiego księdza-chłopa z duszą pańszczyźnianą nauczyliby panowie moresu, poczekałby se na probostwo. Ale nasz Pieron Wojtuś, dziś już Pieroński (bo zmienił stan, to i nazwisko pragnął mieć inne), cie-

---

*) Lud wierzy, że póki dzwon pogrzebowy nie zadzwoni, póty dusza na tamten świat nie idzie.

szy się łaskami i względami tak swej władzy duchownej jak i świeckiej i probostwo ma... Boże mu to odpuść!

Garstka posłów ludowych, słysząc tak smutną historję, była tak niesumienną i bezbożną, że zamiast napisać adres do tego wikarego z najczulszą podzięką, za radą jednego z wysokich a życzliwych ludowi dostojników, wybrała nas dwóch, abyśmy żałobę zanieśli do stolicy biskupiej w Przemyślu.

Nie iść było tam — powiecie — tylko iść „kanonika przeprosić*), ucałować nogi wikaremu i milczeć?!“ A toby trzeba chyba mieć więcej cierpliwości, aniżeli jej miał sam Chrystus, bo bijącego Jego Boskie oblicze opryszka z bandy Faryzeuszów i arcykapłanów zapytał: „Czemu mię bijesz?“.

Czyśmy mogli cierpliwie patrzeć, jak chłopa, naszego brata, który służbą od dziecka dobił się kawałka chleba, nauczył się pisać i czytać, brał udział w zjazdach kółek rolniczych i czytaniem gazety oświecał swój rozum — jak tego chłopa zimnego zwłoki poniewierają, „gdyby padlinę?“.

Wy chłopi, pańszczyźniane dusze, którzy dziś z głupoty macie nas (za nakazem kurendy), za „zagorzałych burzycieli“, osądźcie sami, czy tu chłop nie był sponiewierany, — czy kara była nie za mściwa i czy rzeczą nie było o to upomnąć się i oburzyć?

Ś. p. ks. biskup Solecki, staruszek sędziwy, przyjął nas dość życzliwie i zawiadomił nas obu z Wójcikiem, że wie o tym wypadku i wikarego ztamtąd przeniósł. A gdyśmy się pytali, za co tak „Przyjaciela“ wyklinał, odrzekł: „Moi panowie, wyście młodzi, to nie pamiętacie, ale ja pamiętam, jak w r. 1846, chłopi panów rżnęli, a ten ruch ludowy do rzezi panów zmierza, dlatego zakazałem czytać „Przyjaciela“*). Osłupiały z podziwu pytam czcigodnego starca, kto go tak o tem poinformował?.... „A, to mi tak moi księża donoszą“.

*) Znam takie wypadki -- i to nie pojedyncze — gdzie za to, że ksiądz chłopa wypopycha, rozumie się, za gazety, a ten idzie na pożałunek do wikarego, — to ten mu lakoniczną odpowiedź zwykle daje: „idź, przeproś kanonika“.

**) Mowa tu o „Przyjacielu“ jakim był dawniej, dzisiejszy „Przyjaciel“ prowadzi politykę nie zdrową, dla Polski i dla ludu.

Opuściliśmy pałac biskupi z głębokim żalem w duszy, że chłopi-księża w swych bratach — chłopach nie widzą nic lepszego, tylko kandydatów na zabójców, że ruch ludowy — że stronnictwo ludowe, nie ma nic naglejszego do roboty, jeno uzbroić się w cepy i widły i rżnąć panów.

Długom się dziwił takim poglądom staruszka, źle poinformowanego, aż mi wpadł do ręki dodatek do gazety księżo-pańskiej „Czas", gazety błogosławionej, którą nasi bracia księża-chłopi z gustem za dobrą uznają i czytają. W dodatku tym, wydanym w roku 1856, Tom II, zeszyt 5 w miesiącu maju, na stronie 559, wyczytałem między innemi i takie rzeczy:

„Rzym, w maju. Z końcem przyszłego miesiąca, lub początkiem lipca mają otworzyć kolej żelazną do Frascati. Smutno pomyśleć, że kiedy w Europie wszystkie kraje poniekąd już przerżnięte kolejami, kiedy je budują w Egipcie i w Indjach, tu dopiero zrobiono dwie mile. Jest to więc pierwsza kolej w państwie kościelnem, a Pius IX. będzie pierwszym papieżem, który się koleją przejedzie.

Wiadoma rzecz, że Grzegorz XVI nie dał sobie nigdy wspomnieć, jak mówił, „o tym piekielnym wynalazku" i dzisiaj są jeszcze starzy prałaci, którzy na przywiezione z Anglji lokomotywy patrzą ze zgrozą, uważając je jako istotne „dzieło szatana".

To mię uspokoiło — i do dziś dnia mi osładza wszelkie zarzuty od głupich, czy od mądrych pochodzące na stronnictwo ludowe i wierzę, że jak w Rzymie chyba już lokomotywa nie uchodzi dziś za dzieło szatańskie, to przyjdzie czas, że i o nas nasi bracia biskupi zmienią zdanie.

Lud odczuł srogą krzywdę, ś. p. Gilowi wyrządzoną i złożywszy ubożuchny grosz, wystawił na jego grobie piękny krzyż, godło męczeństwa Zbawcy. Czy ten krzyż na mogile chłopa o wolnej duszy nie rumieni tych, którzy ciało jego kopali? Ja tego nie umiem powiedzieć. Ks. Szurmiak w Czerminie nie owija w bawełnę, jeno głosi chłopom, że ich każe jak psów w rowie grzebać.

A przecież dziś wójt za pochowanie psa zdechłego lub świni w rowie byłby karany. Dziś i ścierwo musi leżeć w ładnie ogrodzonem grzebowisku. A przecież ludowcy, chwała Bogu, są ludźmi stworzonymi na obraz i podobieństwo Boże, a nie psy. Są ludźmi, płacącymi

grube podatki, dającymi swe dzieci pod karabin i w razie wojny na rzeź oczywistą, to chyba w danym razie można ks. Szurmiakowi pokazać, że na to ma gmina czy parafja cmentarz, aby ludzi chować... Podziwiać tu wielką miłość Boga i bliźniego u tego kapłana, niegdyś profesora religji, i nie dziwić się, że wielu z jego uczniów tak go pojęło...

A jak się tu już djabeł ożenił, to i hulał, a nie było człeka, żeby powiedział słowo miłości. — Parowano na stronnictwo winę, a prawdziwi winowajcy do winy ani się myśleli, ani myślą przyznać. Cóż dziwnego, że się może i powtórzyło zdarzenie opisane w książce do czytania, o Pawełku, co nie wiedział, co to jest odgłos i krzyknął w lesie hej! hej! — a natychmiast echo powtórzyło hej! hej! A gdy krzyknął: głupiś! to echo tak samo oddało. A nie było matki, aby pouczyła, że gdybyś był Pawełku grzecznie przemawiał i przyzwoicie, byłbyś takąż odpowiedź otrzymał. „Krzyki, groźby i łajanie, złe wskazują wychowanie".

Nie było gospodarza, któryby słuchając, jak się wół z koniem kłócą na pastwisku, które z nich ładniejsze, powiedział: dajcie sobie spokój, boście obydwaj pożyteczni, żyjcie w zgodzie i pracujcie, a będę was zarówno doglądał i karmił.

13.

Ludowiec — chłop, widząc na każdym kroku ucisk moralny, musiał się na to obruszyć przeciw swemu duszpasterzowi... Znacie wy chłopską naturę i wiecie wy, co to trzeba za bólu, aby się chłop potrafił w oczy księdzu sprzeciwić. A jednak ten i ów chłop to musiał uczynić. Musiał uczynić, choć mu żona veto*) stawiała, choć go z komoterstwa odpędzano, choć go chleba pozbywano, bo widział, że sprawa jego jest święta, że wszyscy mają swój sztandar, to i jemu koniecznie pod chłopski sztandar ludowy iść potrzeba bądź co bądź!

Widział, że trzeba ofiarę za swe przekonania ponieść i bronić tego, co zbudował, — czego od wieków nie miał, a czego się przecież doczekał: k a w a ł k a

*) Zabraniam.

wolności choć na papierze, i gazety, która mu śmiało bez obsłonek radziła w jego biedzie i dawała miejsce na jego żale i bóle...

A dławienie nie ustawało, ale to ztąd to z owąd donosili czytelnicy, co ich spotyka za czytanie. Ten się żalił, że jego proboszcz za czytanie zapowiedział z ambony, ażeby chłopi w jego sklepie nie kupowali chleba na święcenie, bo inaczej go święcił nie będzie. Inny się żalił, że za to, iż głosował na ludowca, gdy poszedł z dzieckiem do chrztu w niedzielę, mimo że było trzech księży, nie ochrzcono mu, aż żona piątego dnia po połogu musiała wyjść chora z łóżka i jechać do dziekana, a ten widząc kobietę zsiniałą, ulitował się zaledwo nad nią — pocieszył i ochrzcił. Ale czy i on na tem dobrze wyszedł, to niechby powiedział...

A był wypadek, że gdy podczas misji kaznodzieja prosił proboszcza, aby idącemu doń ludowcowi i na kolanach go przeprosić chcącemu darował, powiedział, że nie daruje.

Nie chcę krwawić serca chłopskiego i opisywać tego, co wielu rozbrykanych chłopskich synów księży wyrabiało z biednym ludem, ale sprawiedliwość każe mi przyznać, że większa część duchownych miała sumienie i dała spokój walce, na której tylko sam djabeł najlepiej wychodził.

Wierzę, że jeżeli kto, to kapłan ma wiele powodów stać się zgryźliwym. W seminarjum uczą go, co za wysoki stan posiędzie, co on za potęgę ma i władzę, a on przybywszy na probostwo, widzi, że on stoi nieraz niżej od swego parobka. Bo on tu musi być i c. kr. urzędnikiem i księdzem i parobkiem.

I podczas gdy parobek poszedł spać, on musi zaglądnąć, czy wszystko w porządku, bo oko pańskie konia tuczy. Aż że głównem jego utrzymaniem jest grunt, to musi być gospodarzem, jeśli chce coś mieć na utrzymanie, zwłaszcza w małej i biednej parafji. Dość ma kłopotu różnego. To mu co chwilę raportują, a to się krowa nie może ocielić, to zdechła z koniczu, to koń nogę złamał lub oślepł, to baby chwast drą w polu plebańskiem, to że ludzie pole zatłoczyli. I nie bądź tu zgryźliwym. — A cóż dopiero, kiedy im kazano chłopów wyklinać — a ci się opierali i szemrali! A lud to już nie był ten, coby się kładł na moście do kija. — Ten lud był już uświadomiony, miał ambicję i poczucie własnej godno-

ści. Dziś słowo ostre a niesłuszne bardziej chłopa bolało i boli, niż jego ojca kije. A z tem się nikt nie liczył i dotąd nie wielu się liczy.

Dziśby wartało przytoczyć dla nauki, co pisał w roku 1414 ks. biskup Mikołaj z Błonia. „Gdy kapłan pokrapia w niedzielę zebranych na nabożeństwo ludzi, naówczas zbliżają się wszyscy do niego z otwartymi oczyma i wysuniętem naprzód obliczem; niech jednak tylko silniej plušnie, wnet się rozsuwa ciżba, kryjąc twarz w rękach i przymykając powieki. Tak i z prawdą, nawet na ambonie".

Czy nieprawdę pisał? Dziś inna nauka i inna metoda z ludem oświeceńszym i oświeconym. A przecież ten kapłan tak kazał postępować z ludem, co żył niemal w stanie dzikim, po lasach, zaroślach, w ziemi, i który żył w niewoli, który nie miał praw ani konstytucji — który o czytaniu ani sztuce pisania nie miał najmniejszego pojęcia.

14.

Po tylu wiekach doszło nareszcie i w Galicji do tego, że władzom świeckim po urzędach, po sądach, starostwach i t. p. nakazano, aby tych chłopów, którzy są rzeczywiście podwaliną narodu i państwa, którzy żywią i bronią, — nie bić, nie kopać nogami, nie gromić, nie przezywać, ale grzecznie traktować, jako ludzi, jako obywateli.

Doszło nawet do tej zbrodni, że przy wojsku, gdzie był największy despotyzm (kto służył, może to poświadczyć), zakazano pod największą karą, aby żołnierza nie bić, nie przezywać, ale go traktować po ludzku. I gdyby się czy to jaki urzędnik, czy oficer zapomniał, przyszedł do „jankuru" i obszedł się nie podług nakazu swych władz z podwładnym, a to się doniosło do jego władzy przełożonej, to takiemu jegomości utrą nosa, aż się nałoży szanować tych, którzy krwawym potem pracują na jego utrzymanie. Znam wypadek, że po jednych ćwiczeniach wojskowych, gdy już urlopnicy mieli książki podpisane, przybył do nich kapitan i tak rzekł do nich: „Obecnie już panowie nie podlegacie mej komendzie, sąście wolnymi obywatelami. Zaręczam wam słowem oficerskiem, że włos z głowy nikomu nie spa-

dnie, ale proszę was, powiedzcie mi, czy który przez te 14 dni nie dostał w mordę od którego z podoficerów, albo był niesłusznie maltretowany?“ A gdy urlopnicy odrzekli, że to ich nie spotkało, to ten ludzki oficer dodał: „Wy tutaj nic nie mówicie, ale gdyby co było, to będziecie potem bestje pisać do Daszyńskiego, a ten tam w Wiedniu będzie piorunował“.

Taki dziś zwyczaj zaprowadzają już nawet w wojsku i o tem chłop się bez gazet wyklętych dowiaduje.

A jakże się praktykowało, a w wielu miejscach dotąd praktykuje, po wielu plebanjach? Chłopskie dziecko, ksiądz, zwykle kanonik (bo już teraz plebanów mało, sami kanonicy) jakże chłopa traktuje? Nieraz przychodzi doń starowina zgarbiony i korząc się, całuje dłoń w pokorze, a tu na niego z góry powstaje. Ton niejeden księżulo przybiera groźny, a cóż gdy ma proboszcz coś do niego. Patrzę oczyma własnymi na to, jak proboszcz już po kurendzie koszule ludziom rozrywa, jak ich kopie w kościele, jak wziąwszy do pomocy grabarza, kościelnego, parobka i gospodarza swego, wchodzi na czele tej bandy, w nocy wczas, przed mszą św. do chaty ubogiego wieśniaka, który ni czytać ni pisać nie zna, i robi rewizję nieprawnie i niesłusznie, a uniewinniającej się kobiecie powiada: „s t u l p y s k, t y ś w i n i o“ (autentyczne).

Powiecie — a czemu o tem nie napisać do ks. biskupa? Pozwólcie bracia, ks. biskupi dobrze to wiedzą. Ale to są ich benjaminki, to nie tylko, że mu za to nic by nie zrobił, ale oni „łzy ronią nad nim“, że ludowcy są tak zażarci, że się mu kopać nie chcą dać, i że powiadają, że są ludźmi, a nie świńmi.

A chłop widzi, że na drugich plebanjach proboszcze nie przewracają bab w kościele, nie fikają na ludzi, nie kopią, ale tą jakoś z ludziskami pchają biedę. — Gdy widzi, że satysfakcji nikomu się nie daje wyżej, tylko srom; gdy widzi, że to nie ustaje, to cóż miał robić, jak bodaj do gazety swą krzywdę podać?

A przecież mamy prawo żądać w XX. wieku już i od księży, aby nas nie szarpali, nie bili i żeby wiedzieli, że my już są nie ci sami ludzie, których miał przed sobą ks. Machaczek, i świńmi się traktować nie pozwolim!

W sądach świeckich, wogóle u władz świeckich tak zwykle bywa, że kto ma co przeciw drugiemu, to go skarży na piśmie, podając świadków. Władza odnośna

woła go do sądu, stają obie strony z świadkami, a sędzia na podstawie zeznań świadków wydaje wyrok. To tak postępują władze świeckie. A jakże bywa na plebanjach przeważnie? W każdej parafji są tak zwani „biegli w piśmie“, rodzaj starożytnych Faryzeuszy, co mają łaskę u kanonika, i gdyś tylko z takim poczciwcem, czyli z taką pańszczyźnianą duszą nie jest w zgodzie, to taki lizuń za lada drobnostkę ci powiada: „pockaj psiakrew, zamascę ja ci u kanonika“ i przepadłeś. Na kazaniu słuchasz, a tu mowa o tobie, zwykle najniewinniej.

Ale z takimi lizuniami otwartymi jeszcze pół biedy. Są jeszcze inne pijawy, daleko niebezpieczniejsze i wstrętniejsze, tak zw. dewotki, które każde twe słowo, każdy krok szpiegują i donoszą tajemnie ojcowi duchownemu, prosząc, by ich też nie wydawać, boby się ten lub ów na nie gniewał. — A taka „dygotka“ gdy się z kim pokłóci, to ci się czasem odgraża: „poczekaj, teraz nie pójdę do księdza kanonika, ale po jarmarku, jak se tylko gęsi sprzedam — to ja ci ta już podprawię“. A mówi to dlatego, że niema pieniędzy na mszę św., a że gdy da ofiarę i przedstawi siebie w dobrem świetle, to ma wiarę nieograniczoną, choćby łgała, jak bury pies.

Na podstawie zeznań takich małp faryzeuszowskich, ksiądz — a więc stróż sprawiedliwości, nie ludzkiej, często ślepej — ale Bożej — nieomylnej, wydaje wyrok, bez świadka, bez konfrontacji z oskarżycielem i ogłasza go nie z trybuny świeckiej, nie w gmachu sądowym, często żydowskim, ale w domu bożym, w obecności Zbawiciela utajonego, z ambony, gdzie się można było spodziewać samej bezstronnej prawdy. Czy to by nie było piękną rolą dla ks. biskupów, aby system ten, który tylu niechętnych duchownym wyradza, znieść? I gdy się tak niesłusznie raz, drugi i dziesiąty człeka oszkaluje, cóż jemu za myśli do głowy przychodzą? Jak on myśli o tym kapłanie i czy mu wiary przybywa do instytucji kościoła, czy też przeciwnie? I czy to „Przyjaciel“ co gorszy, wiarę osłabia, czy też kto inny. Gdzież się ma udać taki człek — na miłość Boga? A więc pisze swe żale do pisma, które dzięki Bogu, że jest takie, co te bóle chce drukować. Mówić chłopu, żeby ubolewał nad takim kapłanem i zań się modlił, to znaczy kpić z chłopa, — bo od tego jest biskup i dziekan, aby jako wyższa instancja byli obrońcą tych, którym krzywda się dzieje, a nie

ukrywać nadużyć, których się ten lub ów pasterz nad owcami dopuszcza... A jak tego nie robią, to niech się nie dziwią, że owca, jak umie, tak się bronić musi.

15.

Dziś chłop nie siedzi w domu wciąż, ale jeździ, to po Saksach, to po Ameryce, to po Morawie, a więc widzi, że tam ksiądz nie jest despotą, tylko przyjacielem, bratem jakich nareszcie i u nas wielu się spotyka. Toż, gdy się ma do czynienia z proboszczem wojowniczo-despotycznym, to choćby chłop „Przyjaciela“ nie widział ani razu, to się musi robić niechętnym osobie duchownej, ale czyż to jego wina? I mamy my, wolnej duszy chłopi, prawo żądać od naszych braci, księży biskupów, aby pouczyli tych księży, którzy nie spostrzegają dotąd, jak się lud odmienił i ucywilizował, że nie wolno im obchodzić się z nim inaczej, jak tylko po ludzku, bez względu, czy to ludowiec, czy dusza pańszczyźniana. Inaczej, kto naprawia skrzydła jastrzębiowi, ten musi odpowiadać za jego pazury. Tu nic innego nie pomoże, żadne kurendy!

Nasi bracia, chłopscy synkowie-księża mają nakaz polować na ludowców i tępić niby te biedne zające, a który się z nich najlepiej sprawi, to go ordery i łaski nie miną. Tylko czy wszystkim dadzą radę, to już chyba nie, bo niepodobna zgnębić myśli wolnej tylu tysięcy chłopa, który dziś despotyzmu świeckiego nie mając i nie znosząc, tyranię duchowników lekceważyć będzie, gdyby tylko przeholowano w tej mierze.

Księża muszą ślepo swych przełożonych słuchać, bo na to przysięgali. Kazano im zarzucić polskie czamary i kaszkiety, musieli. Nosili trzewiki i portki spuszczone, zabroniono im tego, palili cygara i na ulicy, i to im zabroniono. Toć oni biedacy muszą słuchać. A cóż, gdy im kazano urządzić polowanie z nagonką na ludowców? Czy im braknie ochoty? Wszystkie stronnictwa ludowe obecnie stały się podobne, to do róż pachnących, to do fiołków, a tylko Stronnictwo Ludowe podobne do głogu. — Czyli mówiąc jaśniej, stańczycy i ich pańszczyźniane dusze, wszystkiemi stronnictwami, tak demokratycznemi jak i ludowemi utarli sobie już plecy czy tam co

więcej, a tylko naszem nie mogą, bo kłuje. Toż z tej nagonki dawni nasi sojusznicy są kontenci, ale Bóg z nami!

I cóż się dziwować, że nasze dzieci, które chodzą do szkół gimnazjalnych, widząc tę rolę, którąby odegrać jako księża musieli, nie chcą ochotnie iść na księży, bo nie chcą nam, swym braciom, za nasz chleb, krupy, jagły i krwawo zapracowany grosz, odpłacić się później niesumiennym i wprost nieludzkim kamieniem.

I szkoda pisać, że to wina ludowców. — To jest dowodem, że nasze dzieci nie chcą mieć duszy pańszczyźnianej, ale chcą nam być pomocą i powiększyć szeregi naszych obrońców w walce o byt, o chleb i o swobody.

16.

Stan kapłański nie jest do pozazdroszczenia. Ni żony, ni dzieci, ni wolności słowa czy czynu, probostwa nie wszystkie tłuste, a charówka nie lada nad ludem. Przekonania swego ksiądz jawnie nie może głośno objawić. A gdyby cokolwiek wbrew życzeniu biskupa, jego polityki, lub jako wikary wobec nie tylko proboszcza, ale nawet jego gosposi uczynił, to przepadł, jak szwed w Kampinoskiej puszczy. A gdy się jeszcze musi wysługiwać polityce pańskiej, — bo taka wola biskupów, — i gwałcić chłopa, swego ojca lub brata, że on ma inne przekonania polityczne, to skąd ma młodzież mieć popęd do tego stanu? U nas w djecezji tarnowskiej idą na to w ostatnich latach najsłabsze i najbiedniejsze jednostki, często bez matur, a co tęższe siły, umykają do innych zawodów. A mimo, że kapłana dola jest dosyć trudna, to pytam, dlaczego na przykład w djecezji przemyskiej, gdzie jest środowisko ludowców, gdzie znam pocztę jedną, że na nią 200 numerów „Przyjaciela“ przychodzi, — nie brakuje kandydatów do stanu duchownego? I dlaczego Najprzewielebniejszy ks. biskup Pelczar, jeżdżąc po swej djecezji, nie nabrał tak strasznego przekonania o ludowcach, ale owszem, był na tyle sumienny, że wobec całego Sejmu przyznał, ze „ostrze tak zwanej sprawy ludowej, dużo się stępiło?“ Nad tem wartoby się było zastanowić i gruntownie zbadać, czego „zażarci“ ludowcy tu i ow-

dzie piszczą, a byłby się przekonał, że jest inny powód, że w diecezji tarnowskiej młodzież do seminarjum duchownego trzeba gwałtem i obietnicami zdobywać, i czemu ci ludowcy tutaj tak wrzeszczą. A wtedyby się mógł przekonać, że słusznie powiedział poseł Biankini do cesarza, że „ten nie wrzeszczy, kogo nie boli“ i nie nazywałby swych dobrych owiec „wrogami“. Bo za co my możemy być wrogami naszej dziatwy i braci chłopskiej, która się dobiła stanowisk, o jakich się ongi ani śniło chłopom? Nam tego chleba potrzeba, bo to jest jedyne stanowisko, gdzie nam możni konkurencji nie robią i dajcie walce spokój, to zabraknie wam posad dla księży.

I piszący swoje „dwie duszyczki“ nie byłby pisał tyle, bo się stosunki lokalne, powiatowe, a i krajowe tak układały, że była nadzieja, że walka duchowna ustanie, czego sobie tylko każdy Polak mógł życzyć. I gazety stańczykowskie tyle nie ujadały, a po zgonie „Ruchu katolickiego“, który nie mógł póty strawić ludowców, aż padł z tego jadu, „Przedświt“, który na jego miejsce powstał, był daleko objektywniejszy, a nawet jeden artykuł pisany w sprawie ludowej, był całkiem pisany przez wolną duszę. Mianowicie: że inaczej trzeba traktować lud w kościele, a inaczej poza kościołem. Bo w kościele lud słuchać i milczeć musi, a poza kościołem ma prawo mówić, żądać, a nawet rozkazywać. Naturalnie, że o tem na serjo nikt nie myśli, tylko despotycznie, po moskiewsku, chcą nami kierować w polityce.

Zarzuca się ludowcom, że się pną do góry po chłopskich plecach, że sobie zyskali zaufanie i weszli do sejmu, niektórzy i do parlamentu. Czy też tak ojcowie duchowni, a wogóle i wszystkich stanów ludzie w dół dyrdem idą, czy wolą być w górze, czy się nie pną całą siłą? Czy też na liche probostwo pchają się księża, że aż kolator rady sobie dać nie może z nimi, czyteż wolą tłuściejsze? Czy woli urzędnik być w małej randze, czy się mu obśniewa coraz wyższa?

Ci, którym się to zarzuca, nie mają w tem racji? Czyż to nie każdemu do tego otwarte pole? Chyba ślepy, albo pańszczyźniak tego nie widzi, że dziś ludzie, tak świeccy jak i duchowni, o nic innego nie walczą, jak o chleb i o władzę. I nikt im tego za złe niema, bo do tego mają prawo. Im nikt nie grozi, że „co im z tego, że ich wpuszczą do sejmu lub parlamentu, a nie do nieba“.

Na 165 posłów sejmowych jest ludowców aż c z t e r e c h!, a tak samo w Wiedniu czterech. Wielu z posłów, a zwłaszcza w Kole polsk. nie całkiem uczciwą drogą doszło do tej „góry“. A jednak ich się sadowi tuż przy św. Piotrze, a ludowcom obiecuje koniecznie piekło. Mój Boże, jakie to jasne dla chłopów, to o tem szkoda i pisać więcej. Ktokolwiek w przyszłości czytać ten zarzut będzie, to musi z ubolewaniem powiedzieć, że jest aż nadto jaskrawo naciągnięty, a miał na celu odebrać ochotę chłopu do posłowania. Wybrać księży, szlachciców i ich ciurów, to za to chłopie masz jasne niebo, ale wybrać chłopów z wolną duszą — to tak ciebie, jak i tych śmiałków czeluście piekielne czeka!! Nie wiedzieć, czy się śmiać nad tem, czy ubolewać....

17.

Ubolewa się często nad panami, że i oni biedni, i gdyby „krew tak z ludu ssali, jak ludowcy piszą, toby byli bogaci“.

Krew z ludu, — t. j. pieniądze — już wyssana, to w formie zapłaconej pańszczyzny, to w formie dziesięciny, to w formie zapłaty propinacyjnej i t. p. Mimo to, że tyle panowie wyciągnęli z ludu, dziś rzeczywiście nie mają tych fortun, które niegdyś ich ojcowie mieli. Ale czyż to chłopi temu winni? — Czyż chłopi każą im żyć nad stan i kupować n. p. konie po parę tysięcy złr., albo za granicą udawać hrabiów i marnie trwonić pieniądze? Czy panowie mają większe ciężary od nas? Nas na 500 morgach żyje rodzin 90—100, i liczymy do 600 głów. Musimy opłacić podatki, kupić opał, ubranie, dawać na najrozmaitsze wydatki, także i księdzu pod różnemi pobożnemi postaciami pieniądze, sprawić tyle chrztów i pogrzebów i napić się, a zabawić z sąsiadami, i oświecenie dziatwy dużo kosztuje, i chłop musi żyć.

A pan we dworze ma sam 500 i więcej morgów gruntu, i żyje w kawalerce całe życie, ani wyda na chrzciny, ani na wesela — ani zna petytę i kolędę, to on sobie dać rady jeszcze, jedna gęba, nie może? Prawda, robotnik zdrożał, ale czyż to nasza wina, albo czy to złe? Niech osiądą panowie spokojnie (jak to u wielu się widzi) na glebie praojczystej, niech nie wydają grosza na przekupstwa wyborców, niech nie udają większych panów,

niż ich na to stać, to chłopi, widząc ich przy sobie pracujących uczciwie, oddadzą im szacunek i cześć. Zresztą śpiewamy co niedzielę: „Głodnych nasycił hojnie i w dobra spanoszył, Bogaczów z torbą puścił i nędznie rozprószył". A że ludowcy uderzają nieraz na nich, to tylko za ich szacherki polityczne, ale poza tem proszę się przypatrzeć, jak coraz piękniejsza harmonja między dworem a chatą polską panuje.

Tylko o jednem trzeba pamiętać. Stało się, że zeszli z pola hetmani. Dzisiejsza szlachta bankrutuje w przerażający sposób i nijak nie chce, czy nie może utrzymać się we dworze pradziadów. To, co Chrystus powiedział, iści się dziś, chwała Bogu, co do literki, i ci, co byli tyle wieków cisi, ci tę ziemię osiadają i chcą osiadać. Skutek tego jest ten, że z majątkiem większym, muszą mieć i większe obowiązki, a prawa większe całkiem im się należą i od tego żadnem piekłem chłop rozumny odstraszyć się nikomu nie da. A prawa zdobywa się walką polityczną.

Upadkowi fortun średnich w Galicji chyba nikt już nie przeszkodzi, a sami panowie mówią, że nie za całe sto lat zostaną tylko nieliczne magnackie fortuny, a drobne dwory znikną, jak te kurne chałupięta.

Może być, że jakby tak nie tylko dla ludowców mieć piekła i „twardość", ale żeby tak i tym średniakom napisać od czasu do czasu jaką kurendzinę, możeby się dłużej dwór utrzymał; ale tak jak dziś widzimy, to nie trzeba proroka, aby powiedzieć, co się z nimi niedługo stanie.

18.

Widząc, że nie tylko przed stu laty kiepsko panowie rządzili krajem, skorośmy teraz w niewoli, ale potomkowie tychże dziś sami swoim majątkiem licho gospodarzą i wielu z nich żyje bez jutra, wiedząc, że chcą jedynie sami kierować nawą polityczną państwa, kraju i powiatów, cóż dziwnego, że ludowcy muszą ich smagać czasami i brać krzesła poselskie i inne, które się im z prawą należą. Czyż mamy im dawać cukierki pochwalne i fałszywie kłamać sobie i im, że co tylko zrobią w polityce, to jest wszystko dobre i pożyteczne dla wszystkich bez wyjątku?

A gdybyśmy widzieli, że stan duchowny ma tę cywilną odwagę powiedzieć im w oczy słowa prawdy! — he! he! to byśmy błagali tychże, aby nam i w polityce byli przewodnikami.

Ale widzimy u nich zachowanie się strusie i pańszczyźniane wobec nich. Widzimy, że u nich dusza pańszczyźniana rozsiadła się, niech Bóg broni, i skakają im pod nos lepiej pochlebstwami, jak umarłym kadzą trybularzem. Cóż dziwnego, że my musimy ich rządy krytykować i tracić zaufanie do księży, jako do polityków. Ta krytyka może czasem i za surowa, może nie . cukrem podana — chłopska, ale serdeczna — powinna być dla nich (a często i jest) ostrogą, przestrzegającą ich przed niebezpieczeństwem ich polityki, która często i im samym, i nam, i całemu krajowi jest szkodliwą, a nawet zabójczą! O nienawiści klasowej — jadowitej w dzisiejszych czasach, nie ma u nas mowy. Kłótnie chłopów polskich z panami o sprawy polityczne uważać należy jako polemikę adwokata, broniącego sprawy, z sędzią albo z prokuratorem. Niby się kłócą, a potem idą razem na objad.

Znamy się aż nadto dobrze, znamy nasze wady i zdolności i wiemy, czego nam brakuje. Wiemy, cośmy dobrego mieli od starodawnej szlachty, co złego, a widzimy dziś dobrze, którzy panowie wynieśli z przeszłości naukę i idą drogą uczciwą, — a którzy niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli. Z przeciwnej partji, gdy się głos odezwie za ludem życzliwy, umiemy go ocenić. Wiemy, że sam chłop nie dałby rady tej pracy narodowo-politycznej i gospodarskiej, jaka jest do zrobienia. I nie myślimy tak, jak niektórzy chłopscy politycy myślą, że jeno chłop nadewszystko, bo to się słowo nigdy ciałem nie stało i nie stanie. Ale kiedy się nas od współudziału w politycznem życiu środkami wysoce niemoralnymi nawet odsuwa — no, tobyśmy chyba byli bałwanami, nie ludźmi, abyśmy na to milczeli.

19.

Oj nie duma i chęć wywyższenia się popycha chłopów do walki, ale to mus dziejowy popędza ich do tego i przykład z góry. Pomijając wszystkie stany, biorę stan duchowny. Przeważnie utrzymanie mają dostatnie,

zapewnione; parafja musi utrzymywać budynki, nie mają dzieci, nie kłopocą się, jak je wychować, wykształcić i wywianować, a ubiegają się o poselstwo, o godności. Żeby niejeden mógł, toby nawet i na wójta kandydował; a cóż na miłość Boską macie za dusze, aby nam grozić piekłem, za to, że się chłop do sejmu jakoś wdrapie?

Oj! nie o nasze dusze tutaj to idzie, nie, tylko że to chcą mieć nas ciemnych i głupich, a rządzić nami despotycznie, żeby chłop nie miał własnego zdania i wolnej duszy, ale żeby to było oślę pańszczyźniane, które możnaby zaprowadzić na sznurku tam, gdzie się chce. I gdyby to byli tacy księża, co nietylko myślą o swym brzuchu, ale i o chłopskim, toby nie żal było żyć pod takiego kapłana obuchem.

Ale dużo takich? Dziś główną robotą u księży jest walka z ludowcami. I dobrze, że choć to mają, bo mają ułatwione kazania. Nie suszy sobie jaki taki głowy, jeno woła: „łajdaki, antychrysty“ i t. p. na ludowców, ale czy to Pan Bóg ma z tego chwałę, to któż się o to pyta.

A jednak ludowcy nie zginą! Wolną duszę można barbarzyńskimi środkami gnębić, można prześladować, zabijać ciało i palić na stosach, ale jej zabić nie można. I tego chłopscy synowie, nasi bracia, a dziś nasi kapłani, nie zdołają zrobić!

Panowie, w których to jedynie interesie te gwałty nieludzkie się dzieją, uśmiechają się jeno za węgiełkiem i mówią nam: „A dyć to przecież nie szlachta, ale to chłopscy synowie wam to robią“.

Straszny to dla chłopskiego serca policzek. A co się dzieje wtedy w jego duszy, to tylko Ty wiesz, o Ojcze nasz w niebiesiech!

Zarzuca się ludowcom, że pochlebstwami rozbudzili apetyt i chęć błyszczenia i rządów. A jakże to dziś się dzieje, choćby na plebanji z tymi chłopami, co to niby są wyborowi ludzie, nie ludowcy; czy się do nich nie mówi łagodnie, niby wietrzyk majowy (rozumie się, jeżeli jest cośkolwiek mądrzejszy), czy się ich nie częstuje, nie odznacza na każdym kroku? A czy to tak było, póki ludowców nie było? W tem postępowaniu nas się dziś prześciga, o co się wcale, ja przynajmniej, nie gniewam, tylko się owszem cieszę, że moi bracia chłopi przychodzą do jakiego takiego szacunku.

Apetyt... Czy nie słuszny? Czy chłop po tylu wiekach niedoli niema prawa do tego apetytu? Czy z chwilą, kiedy nikną ci, którzy rej wodzili w gminie, powiecie i kraju, a dwory nie zawsze w polskie ręce się dostają, — mamy być my, chłopi, bezwiedni, nie umiejący nic bez czyjejś podpórki pomyśleć, zrobić i zająć ten posterunek w życiu politycznem, który oni opuścić chcieli, czy też musieli? Nie, to byłoby dopiero zbrodnią. A zatem chłopa gnuśnego i nieprzywykłego do polityki i urzędowania musiano popchnąć do tej pracy i w tem jest wielka zasługa ludowców, którą potomni słuszniej z pewnością osądzą.

20.

„Bodaj czy wasi ojcowie nie byli szczęśliwsi od was“ — pisał raz jeden duchowny. — Cóż na to odpowiedzieć, kiedy nie pamiętamy lat dawnych. Dziady i pradziady nasi byli w tem „szczęśliwem“ położeniu, że nie znali sztuki pisania, toć nie mogli nam przekazać słodyczy swego szczęścia, które wmawia się dziś w chłopów.

Możnaby nareszcie od biedy uwierzyć temu szyderstwu, gdyby nie kroniki stare, które pisali — nie socjaliści, nie ludowcy, bo wtedy o tem nie było mowy, ale albo szlacheccy pisarze, jak Klonowicz, Opaliński itp., albo kapłani tej miary, jak ojciec Staszyc i świątobliwy ks. Piotr Skarga, kaznodzieja królewski. Pomijam umyślnie świeckich kronikarzy, ale biorę duchownych, aby i najciemniejszego pańszczyźniaka przekonać, jacy to nasi ojcowie byli szczęśliwi.

Więc słuchajcie chłopi, co pisze ojciec Staszyc, który był księdzem i ministrem polskim w Warszawie, który w swoim czasie był największym przyjacielem ludu i bronił go tak w swych pismach, jak nikt, który kupił rozległe dobra Hrubieszowskie i zapisał je chłopom, którego nieśli ubodzy do grobu na Bielanach pod Warszawą, a za którego duszę chłopi powinni gorąco Boga prosić. A czy wiedzą chłopi, co ten człek żyjąc, robił dla nich? Chyba nie wielu. Nie mają chłopi przyjaciół, albo bardzo mało, bo ich nie umią bronić i szanować. Toteż ta i nasze sprawy stoją nie najlepiej.

W książce swej pod tytułem: „Przestroga dla Polski“ tak maluje ks. Staszyc „szczęście naszych ojców“ przed 114 laty, czyli w r. 1790.

„Pięć części narodu polskiego stoi mi przed oczyma. Widzę miljony stworzeń, z których jedne półnago chodzą, drugie skórą, albo ostrą siermięgą okryte. Wszystkie wyschłe, znędzniałe, obrosłe, zakopciałe, oczy głęboko w głowie zapadłe, dychawicznemi piersiami bezustannie robią. Posępne, zadurzałe i głupie, mało czują i myślą, to ich największą szczęśliwością. Ledwie w nich dostrzedz można rozumną duszę. Ich zwierzchnia postać z pierwszego wejrzenia więcej podobieństwa okazuje do zwierza, niźli do człowieka. Chłop: — ostatniej wzgardy nazwisko mają. Tych żywnością jest chleb z śrutu, a przez ćwierć roku samo zielsko, napojem woda i paląca wnętrzności wódka. Tych pomieszkaniem są lochy, czyli trochę nad ziemią wyniesione szałase. Słońce tam niema przystępu, są tylko zapchane smrodem i tym dobroczynnym dymem, który, aby podobno mniej na swoją nędzę patrzali, pozbawia ich światła. Aby mniej cierpieli, i w dzień i w nocy dusząc, ukraca dym ich życie mizerne, a najwięcej w niemowlęcym wieku zabija.

W tej smrodu i dymu pełnej ciemnicy, dzienną pracą strudzony gospodarz, na zgniłym barłogu spoczywa. Obok niego śpi mała dziatwa na tem samem legowisku, na którem krowa z cielęciem i świnia z prosięciem leży. Dobrzy Polacy... Oto rozkosz tej części ludzi, od której los waszej Rzeczypospolitej zawisł, to człowiek, który was żywi, oto stan rolnika w Polszcze!“

W innem swem dziele*) pisze ten pradziwy sługa Boży tak o tem przez ks. biskupa zachwalanem „szczęściu“ naszych dziadów:

„Usłyszałem z tyłu głos. Człowiek w ubogiej odzieży, jego twarz ukazywała z nieszczęśliwością niewinność. Nie był on dziełem sztucznej edukacji, nie miał nauk, ale był człekiem natury, miał czujność. Ten z nieśmiałością zapytał mnie, ktoby w tem zgromadzeniu był królem? W tej ciekawości zaspokojony, prosił dalej, coby ta kupa ksiąg przy królu znaczyła? Są to księgi

*) „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego“, ksiądz Staszyc, 1785 r.

— odpowiedziałem, którym wszyscy naszą wolność i szczęśliwość winniśmy. To te księgi utworzyły to bezpieczeństwo, w którem każdy ze spokojnością pracuje zapewniony, iż korzyści prac jego mocniejszy wydrzeć mu nie może. Są to prawa, które dają nam wszystkim (panom) życie, majątek i sławę. Na te słowa rzuciły się łzy z oczu człowieka owego. Przeraziło mię to. Pytałem się ciekawie tego zmartwienia przyczyny. Westchnął i w te odezwał się słowa: „Ach! nie wszystkim te prawa zapewniają majątek i życie! W tej wielkiej kupie ksiąg, tylko kilka tysięcy obywateli znajduje sprawiedliwość, miljony tegoż kraju mieszkańców żadnego nie mają w nich ratunku! Z miljona tych nieszczęśliwych i ja jestem. Zachowałem przykazania Boże, żyłem według św. religji mojej prawideł. Nie wyrzuca mi sumienie, abym kiedykolwiek skrzywdził bliźniego, owszem, ile mogłem, ratowałem potrzebnych. — Chociaż czułem okrutny los poddaństwa mojego, przecież, sądząc go być Opatrzności zrządzeniem, w dzień pracowałem wiernie panu, a po nocach dla wyżywienia siebie i dzieci A chcąc je wychować w bogobojności, sprzeciwiłem się nierządnej ekonoma pasji. Od tego czasu zaczęło się moje nieszczęście. Chociaż niewinny, przecież człowiek bez sprawiedliwości cierpieć musiałem. Pociągano mnie nad powinność do najcięższej pracy, w drogi najgorsze, gdzie siebie i cały mój dorobek zniszczyłem. Nie mogłem się uskarżyć nikomu, gdyż nikt mi sprawiedliwości uczynić nie mógł, tylko pan, którego żaden z poddanych nie znał, ani w dobrach nie widział. Zdawało mi się, iż się zlitowała nad nami Opatrzność, gdy ów pan zadłużywszy się, był przymuszony sprzedać swą majętność szlachcicowi. Lecz ten nowy dziedzic wcale nikogo nad sobą nie mający, był jeszcze większym od ekonoma tyranem. Miałem trzech synów. Z tych jeden, średni, widząc, iż ledwie jeden nadzieję mieć może objęcia roli po mojej śmierci, a drudzy bez ziemi i bez chleba żyć będą musieli i krajowi i sobie nieużyteczni, nic mi nie powiedziawszy, odszedł. Jakom się potem dowiedział, uczył się rzemiosła. Po oddaleniu się jego z domu, pan surową karą mi grożąc, jeżeli mu syna nie przystawię, owszem zaraz do więzienia osadziwszy, nie wypuścił mię, dokąd mu kilkaset złotych za własnego syna nie zapłaciłem. Wkrótce potem, sądząc mię być bogatym i

spodziewając się u mnie więcej pieniędzy, kazał mię znowu wziąść do kłody i trzymał dopóty, dopokąd mu syna nie powrócę. Gdy wołałem o sprawiedliwość, przypominając, że go już drogo opłaciłem, pan nazwał żal mój zuchwałością. Zaraz kazał mi wszystko z domu pozabierać, a okrutnie mnie skatowawszy, w kajdany zakutego wrzucono do chlewa.

Wydobyłem się z tego lochu, a uciekając z nieszczęśliwem życiem, czuję aż nadto, iż dla mnie w tym kraju nie masz sprawiedliwości. Jestem niewinny, żadnego w towarzystwie nie popełniłem występku. Dobywałem pracowicie 40 morgów nieużytej ziemi, przez 50 lat uprawiałem z pańskim gruntem sto morgów roli. Z tych dziedzic swe zbierał dochody, ja krajowi dorosłe wychowałem dzieci i rzetelnie odnosiłem podatek, przecież doczekałem się tej nieszczęśliwej starości, w której od żony i dzieci oddalony, wszystko, na co prawie całe życie pracowałem, straciwszy, jak złoczyńca kryć się muszę z utrapionem życiem, a żaden człowiek nie ma ani zlitowania się nademną, ani ratowania mnie sposobu. Tylko ten, który mnie krzywdzi, tylko mój tyran, może być moim sędzią. W tych prawach, mego (chłopskiego) stanu człowiek nie znajduje więcej od bydła obrony".

Oto spowiedź chłopa z przed 100 laty. — Prawda czytelnicy, jakie to czasy „szczęśliwe" mieli nasi dziadowie wtedy. Czy nam nie tęsknić za nimi? Powiedzcie pańszczyźniane dusze! czy wam czoła od wstydu nie zapłoną?

21.

Ale ta szczęśliwość" naszych ojców może była w Polsce drzewiej, niż żył ks. Staszyc? — może ktoś powiedzieć.

Gdyby chciał tak kto wmawiać w chłopów, to wstańże świątobliwy księże Skargo, z czasów, kiedy Polska była kwitnąca i najpotężniejsza, i powtórz raz jeszcze, coś mówił na kazaniu wielmożnym panom, o „szczęśliwej" doli naszych praojców:

„A ona krew albo pot żywych poddanych i kmiotków, który ustawicznie bez żadnego zakreszenia cieeze, jakie wszystkiemu królestwu karanie gotuje? Powiedz-

cie sami, iż nie masz państwa, w któremby bardziej poddani i oracze byli pod tak absolutum dominium[1]), którego nad nimi szlachta bez żadnej prawnej przeszkody używa, i sami widzimy, nie tyle ziemańskich ale i królewskich kmiotków wielkie opresje[1]), z których żaden ich wybawić i poratować nie może. Rozgniewany ziemianin, albo starosta królewski nie tylo[2]) złupi wszystko, co ubogi ma, ale i zabija, kiedy chce, a o to i słowa złego nie ucierpi. Tak to królestwo poddane robaczki opatrzyło[3])."

A w innem kazaniu,[4]) tę szczęśliwość złotousty ksiądz Skarga tak opisuje:

„Jeśli nie kupieni, jeżeli Polacy tejże krwie, nie Turcy ani Tatary, jeśli chrześcijanie, czemuż w tej niewoli stękają? Czemu ich nie jako niewolników, ale jako najemników używać? Na twej rolej (roli) siedzi, ale źleć się zachowa, spędź go ze swej roli, a wrodzonej i chrześcijańskiej wolności mu nie bierz i nad jego zdrowiem i żywotem panem się najwyższym sam bez sędziego nie czyń. Starzy chrześcijanie, którzy za pogaństwa niewolniki kupione mieli, wszystkim wolność dawali jako braci w Chrystusie... A my wierne i św. Chrzciany Polaki tegoż narodu, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa, mocą zniewalamy i jako okupione bydło (gdy dla swej nędzy uciekać muszą) pozywamy, i gdy żywności swej indzie ubodzy i znędzeni szukają, okup na nich, jako Turcy za więźnia wyciągamy".

Nie na wiele przydały się te słowa naszego proroka, i sami duchowni widocznie nie wszyscy brali to do serca, kiedy ksiądz Staszyc narzeka i mówi:

„Jakie zgorszenie widzieć kapłana biegającego po wsiach za dziewkami, które z jego wsi do drugiej za mąż powychodziły! Jeżeli znajdzie się w naszej wsi więcej kobiet, niżeli się mężczyzn znaleść może, wolimy, aby w niepłodności zniszczały. Owszem, równie jak bydło sprzedajemy je sobie, albo wymieniamy niby krowę za krowę".

---

1) Samowładnym rządem.

1) Uciski.

2) Nie tylko.

3) Kazanie: o prawach niesprawiedliwych.

4) Kazanie: o niekarności grzechów jawnych.

22.

Może to naszych ojców, z przed 50 laty, tutaj zaliczono do szczęśliwszych od nas? O! to już pamiętamy dobrze i możemy się autora kurendy zapytać, czy to można nazwać szczęśliwością chłopa, który jako „cesarski“, ogłupiony wiekową niewolą — upojony szatańskim trunkiem, podjudzony przez wrogów, uchwycił za straszne żelazne widły i topił je w piersi niewinnej braci akurat wtedy, kiedy oni właśnie jak najlepiej o poprawie jego doli myśleli? Albo gdy z świątyń pańskich wyciągał swych kapłanów i bądź ich męczył, bądź cepami na rynkach niemiłosiernie mordował? Czy nam to z tych szczęśliwych czasów nasi ojcowie zostawili jakie ślady, czyśmy odebrali z ich ręki domy, czy drogi, kościoły, i budynki parafjalne, szkoły i t. p. w lepszym stanie, niż my je dzieciom zostawimy? A że tu już jeden biedny, bo nieświadomy pańszczyźniaczek podsuwał jeszcze głupszym od siebie, że tu miano na myśli szczęśliwość ojców naszych pod względem duchownym, to pytam, kiedy ten chłop miał czas być szczęśliwszym — czyli pobożniejszym, kiedy on nie znał ani prawd wiary św., ani pacierza, a niedawno umarł tu jeden, — co przykazanie Boskie pierwsze tak na pacierzach wygłosił: „pierwsze, jak nie będziesz brał, to nie będziesz miał“. A dziś słyszę co niedzielę, gdy jeden z tych szczęśliwych śpiewa do Ducha św.: „udziel daru majętności“ zamiast pojętności. Co to była za pobożność i szczęśliwość, kiedy — przy każdej stajni była szyna gruba, zamykana na kłódkę, a i tak „szczęśliwy i pobożny“ złodziej co trocha komuś konie ukradł i ani się pies guzy o nich dotąd nie dowiedział. A czy dziś i to mamy?

Kiedy chłop za czasów pańszczyzny miał czas trudnić się nabożeństwem, bractwami, i być religijniejszym od teraźniejszego ludu, kiedy cały tydzień robił jak wół w jarzmie, a w niedzielę, kiedy po sesji odbył posyłki, stojki, i djabli wiedzą jakie interesa pańskie, to gdy mu czasu co zbyło, musiał odpić gorzałę w tych olbrzymich karczmiskach, które tuż przy kościołach, snadź gwoli jego „uszczęśliwienia“ i „uświątobliwienia“ pobudowano.

Czy to szczęśliwość robiła, że cały kraj roił się od całych hord żebraków i włóczęgów, których często nie-

sumienne dzieci na żebry wypchały. A czy dziś mamy tyle czarownic, czarowników, guseł i przesądów, cośmy ich u „szczęśliwych“ naszych ojców zapamiętali...

Ba, powie kto, ale byli potulni, wierzyli na ślepo i to było ich dodatnią cechą.

Tak, wierzyli, ale psią wodę warzyli, i drżeli gdy spotkali księdza lub pana. To i djabli wierzą, ale drżą, ale takiej wiary niech nas Bóg zachowa!

Dziś od chłopa z wolną duszą tylko głupio dumny może wymagać całusów i ukłonów, a dziś w sprawach nie duchownych — nikt nam nie zaimponuje, ani nie olśni — swym tytułem, bośmy równi wobec Boga i prawa — a wiedza i nam już dziś nie obca.

Widzicie kochani pańszczyźniaczki, z tego, że tylko złośliwy może mówić, żeśmy są nieszczęśliwsi od naszych ojców, bo ślepi to już dawno po ciemku widzą, że los naszych ojców w porównaniu do naszego, to było piekło.

23.

Opisując to piekło nie miałem na myśli rozgoryczać ludu przeciw tym, którzy los jego mieli całe wieki w swem ręku, bo czyż można mieć żal do tych, co kazali stalą w krzesiwku dobywać ogień, a nie zapałkami szwedzkiemi? Ale jak się wmawia w nas, żeśmy są nieszczęśliwsi od naszych ojców, tom musiał przedstawić szczęśliwość ich życia na podstawie dokumentów — i wziąć w opiekę tych, co po misjach, kościołach, szkołach, kółkach rolniczych w celu uszczęśliwienia naszego przecież coś robią. Chyba że to się robi na naszą zgubę, to się mylę. Tego twierdzenia żaden człek z stanu szlacheckiego nie podnosił i podnieść nie śmiał, to musiało niestety wyjść z pod pióra... syna chłopskiego... Bądź co bądź, Bogu — największemu Przyjacielowi chłopów dzięki, dziśmy są wolni ludzie i sąśmy przecież do ludzi podobniejsi. Sąśmy już nie cesarscy, jak nasi ojcowie, ale głośno się przyznajemy do tej matki ojczyzny. która nam tyle wieków była straszną macochą, — i z chlubą zwiemy się ludem polskim! A jeżeli pokrzywdzeni starsi bracia przez nas w r. 1846 mówią przez usta poety Wyspiańskiego, że „myśmy wszystko zapomnieli[1])“, to

---

[1]) „Wesele“ Wyspiańskiego.

my dawno wołamy z Szelą Wyspiańskiego: „dajcie bracia kubeł wody ręce myć, nogi myć, suknie prać, nie będzie (krwi) znać...“

24

— A więc to może zasługa ludowców? — pyta mnie duszyczka pańszczyźniana.

Nie jestem tak durny, abym powiedział, że całkiem tak; ale żeśmy sporą cegiełkę do tej budowy dołożyli, to nam nawet wróg uczciwy musi przyznać.

Byliśmy tym, co ujrzawszy, jak się dom zapala, krzyczeliśmy „dla Boga, bo się pali“. A ci, którzy rządzą krajem, powiatem i plebanią — przeklinali i do dziś dnia wyraźnie — i niesumiennie przeklinają nas tak krzyczących, ale — z wolą czy nie z wolą — ratunek niosą i nieść muszą, i wskutek tych krzyków dużo się poprawili — i dużoby nie zrobili ludowi, gdyby tego krzyku nie było.

I wyklinacze sami przyznać muszą, że się muszą stosować nieraz do krzyków ludu, jego żale brać do serca. — A piszący — gdyby widział, że ten krzyk nic nie pomaga, zagryzłby żale w sobie i milczałby jak ryba w wodzie. Ryby milczą... toć widzimy, jak na tem wychodzą. — My ludzie, a nie ryby — jak nas to boli, krzyczeć będziem — choćby i sto kurend wydano. A jeżeli nas kto odtrąca od siebie takich, jakimi jesteśmy, to dlatego pozostaniemy zawsze tam, gdzie on nas odepchnął.

A jednak dziś możemy śmiało powiedzieć, że dusza pańszczyźniana wzięła w łeb djabelnie, a wolna wesoło zaśpiewać może: W e s o ł y n a m d z i e ń d z i ś n a s t a ł, k t ó r e g o z n a s k a ż d y ż ą d a ł, A l l e l u j a, A l l e l u j a!

25.

I nie może być inaczej, tylko wolna dusza musi zwyciężyć pańszczyźnianą, choćby sobie ta ostatnia niewiem jakich środków używała. Chłopi pańszczyźniaki — starzy wymrą, a młodzi, którzy dziś sami nie wiedzą, co

w trawie piszczy, przekonają się, że im Pan Bóg na to dał oczy przed sobą, aby szli naprzód. I gdyby Bóg chciał, abyśmy się w tył cofali, toby nam choć jedno, jakie takie oko w tyle głowy umieścił. I nasi dzisiejsi wyklinacze, widząc, że nam się ani śni słuchać ich zakazów, przestaną się bawić w głupie zakusy — a zrozumią, iż chłopa nie można uważać wciąż za dziecko małe. I wszedłszy w siebie zastanowią się nad tem, że tyle pisemek wydawanych niby dla ludu — mimo błogosławieństw, polecań i wtłaczanych siłą między lud z szumnymi tytułami, jak Krakus, Krzyż i t. p. legło jak zboże pod kosą, a ten biedny Przyjaciel, mimo takich niesumiennych presji, żyje, wychodzi w tysiącach egzemplarzy — i świadczy, że wolną duszę można dręczyć, gnębić, ale ona w końcu odnieść zwycięstwo musi.

Mamy dość w kraju pracy społecznej. — Mądrzejszych ludzi potrzeba wszystkim, i ani sami księża bez ludu nie zrobią cudów, — ani lud sam nie myśli się bawić w walkę z swą bracią — w sutannach, bez powodu. Widzimy, że dziś nawet takie narody despotyczne, jak moskiewski, wołają, że im dość dopiekła dusza pańszczyźniana. Widzimy i u nas, że wszystkie stany krzyczą o swe prawa — i tem je zdobywają; niechże nam nikt tego nie broni, bo dziś i na chłopa polskiego nadszedł czas, by głos sam zabrał i upomniał się o to, co go boli. I na nic go dziś karmić famułką, upstrzoną oklepanemi legendami, dobremi może dla tych, co się uczą dopiero czytać, ale nie dla ludzi, którzy mają już praktykę 45-letniego i więcej żywota i bajeczek już mają po uszy.

Jak czasy czarownic, boginek, kołtunów minęły, bezpowrotnie dla nas, tak samo panowanie duszy pańszczyźnianej minęło na wieki wieków, i praw swych, udzielonych nam nawet przez rząd austrjacki, bronić będziemy i musimy.

* * *

Wy bracia chłopi, rozważcie te moje kilka słów, pisanych z głębokiego przekonania, kwoli waszego dobra, i osądźcie, czym się wiele z prawdą minął. A osądziwszy, — pracujcie nad tem, aby z tych braci, w których dotąd dusza pańszczyźniana siedzi jak djabeł w suchej wierzbie, tę czarownicę wystraszyć, i by dostali duszę prawą

— wolną, bo o taką i król Dawid Pana Boga prosił — gdy mówił: „Ducha prawego odnów we wnętrznościach moich“. Do oświaty ludu sam Przyjaciel niestety nie wystarczy, — toć kochani bracia włościanie, garnijcie się do czytania książek pożytecznych, których tyle gnije po czytelniach, i pamiętajcie, że chłop bez oświaty — jest prawdziwym kołkiem w płocie. Z takim głuptakiem nikt się nie liczy, każdy go słusznie ma za nic. I choćby taki miał tysiące w skrzyniach, jak ma we łbie sieczkę, to jużcić w oczy mu bakę szklić mogą, ale w końcu każdy o nim powie, że to cieluch.

Nadszedł dziś czas, że chłopi muszą się razem do pracy kupić i radzić o swej doli, jeśli chcą się liczyć do narodu polskiego, jeśli chcą, by się z nimi liczono, i jeśli pragną szczęścia i lepszej doli tak dla swej ojczyzny, jako też i dla swych potomków.

Nie macie się na kogo oglądać — i stać za pomocą czyichś podpórek, tylkoście powinni raz na zawsze o tem wiedzieć, że najlepiej ten stoi, kto stoi o własnej sile.

Nieraz, gdy się chłopa pytać, za którą on stroną stoi, to się słyszy taki wybieg: „A, niech ta Pan Bóg da temu, co dobrze chce“. To ładnie, ale mało, boś ty bracie powinien wiedzieć, kto dobrze chce, kto do czego zmierza, i za kim ty masz iść. I broń Boże, — by być dla innych stanów butnym, dumnym, mściwym, zazdrosnym. I owszem, należy być dla nich grzecznym, usłużnym, kochać ich jak braci, ale bez upadlania i pochlebstwa. Gdy widzisz, że taki mówi do ciebie to, co ty uważasz, że to nie tak rozumiesz, powiedz mu w oczy śmiało, co myślisz — a on za to powie o tobie, żeś nie bałwan, ale człowiek myślący, z wolną duszą. A choćby ci przyszło i coś pocierpieć za twe przekonanie, to znieś to cierpliwie, a od swego, gdy masz słuszność, nie odstępuj. Nie tyle cierpieli ci, co przed nami torowali drogę lepszą dla ludzkości, dla narodu — i dla nas. Sam Zbawiciel dał życie za swą boską naukę.

* * *

Nasze odpowiedzi niech świadczą potomkom, jak to ich ojcowie musieli walczyć jeszcze w 20-tym wieku o to, by resztę ducha pańszczyźnianego strząsnąć ze swego stanu. I nie będą mieli żalu do nikogo tyle, jedno do

tych synów chłopskich, którzy wykarmiwszy się z torby chłopskiej, zasiadłszy na niezłych stanowiskach, dali się niebacznie użyć za obrzydliwe pomiotło, którem już dziś sama szlachta wstydziła się i wstydzi zamiatać.

Z Bogiem tylko polski ludu, do pracy. — Porzuć żale, bo z tego doli nie wykrzeszesz, ale stanij twardo ramię przy ramieniu i wolną duszą, krzyknij przeciwnikom: Jestem, żyję, i chcę żyć!

Pamiętajmy słowa poety Asnyka, i idźmy za tem, co pisał ten przyjaciel ludu:

„Nie pomogą próżnc żale,
Bogu swój ból trzeba zlecić,
A samemu zaś wytrwale
Trzeba naprzód iść i świecić."

Grębószów, w setną dziesiątą rocznicę bitwy racławickiej dnia 4. kwietnia 1904.

Jakób Bojko,
włościanin.